



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 10 lipca 1955 r.

Nr 28 (276) Rok VI

ARTUR STAREWICZ

31 LIPCA 1955

W ostatnim dniu lipca na wielkim placu przed Pałacem Kultury i Nauki zbiorą się wielosieczne rzesze młodzieży ze 120 blisko krajów, z wszystkich kontynentów świata. Stąd ten najbardziej międzynarodowy pochód jaki kiedykolwiek widziała Warszawa, pochód młodości i braterstwa, przeciągnięty przez Wisłę w stronę nowego stadionu, gdzie nastąpi otwarcie Festiwalu.

Co dzień nadchodzą stopy listów, telegramów, wieści z dziesiątków krajów. Słowo „Warszawa” powtarzane jest przez miliony młodzieży w różnych językach w najbardziej odległych zakątkach świata. Do Warszawy zdążają już delegacje z dalekich krajów Ameryki Łacińskiej, Afryki, Środkowej, Australii, Azji. Do Warszawy przybywają co dzień na konkursy i wystawy dzieła sztuki, malarstwa, rzeźby, fotografii, utwory muzyczne i literackie. W dziesiątkach krajów odbywają się lokalne narodowe festiwale — konkursy, zawody, zgromadzenia — dla wyboru delegatów do Warszawy.

Warszawa już dziś stała się stolicą młodzieży świata.

Najwięcej przedstawicieli młodego pokolenia przybędzie z Europy, ale najgłośniejsze słowo „Warszawa” rozlega się na Wschodzie, w Syrii, Egipcie i Libanie, w Indiach, Japonii, Indonezji, w Sudanie i Algierze, w Kenii. W tych krajach, gdzie narody walczą o swą pełną niepodległość, młodzież — często wszystkie organizacje młodzieży, niezależnie od kierunku politycznego — zgłasza akces do Warszawskiego Festiwalu.

Nielatwa to sprawa dotrzeć do nas z Paragwaju, z Kamerunu czy z Sumatry. Delegaci oszczędzają, ciulają centy. Całe uniwersytety i wielkie organizacje składają się, aby opłacić podróż jednego, gdyż jego całonocny zarobek wystarcza za ledwie na pół podróży. Delegaci muszą nierzadko zmylić czujność policji i strazy granicznej, aby się wydostać ze swego kraju i trafić do z a k a z a n e j strefy socjalistycznego świata, do z a k a z a n e g o miasta — Warszawy.

Nie będzie chyba żadną megalomanią narodową, gdy powiemy, że z wszystkich wielkich miast Europy, które dotąd gościły światowe festiwale młodzieży, nasze miasto posiada dla młodzieży największą siłę przyciągającą, gdyż dla milionów ludzi na zachodzie i na wschodzie stało się przez swą historię tragiczną i bohaterską, przez dzieło swego odrodzenia, symbolem umiłowania pokoju i wolności.

Ale rzecz jasna, że przyczyną tak szerokiego rozmachu przygotowań do Festiwalu w tak wielu krajach świata tkwią przede wszystkim w sytuacji międzynarodowej: w dążeniach narodów i światowej opinii publicznej do odprężenia międzynarodowego.

Jeszcze na wiosnę tego roku, gdy amerykańskim miliardom i ich dyplomatom udało się po paroletnich próbach szantażu zgwałcić parlamenty zachodnio-europejskie i narzucić ratyfikację układów paryskich, mogło się wydawać, że sytuacja rozwinięta się ku zaostrzeniu, że podział świata na wrogie bloki pogłębił się, że wyścig zbrojeń zostanie przyspieszony, że wzrośnie niebezpieczeństwo strasznego starcia. Rzecznicy wojny święcili wspaniałe triumfy. Mnożyły się prowokacje wokół Tajwanu. Gorączkowo montowano blok wojenny na Bliskim Wschodzie. W Niemczech Zachodnich odwetowo podnosili głosy i zaczęli coraz głośniejszą w tu by rewanzu, Szef sztabu atlantyckiego gen. Schuyler oświadczył cynicznie, że „naszym operatywnym celem będzie zabijanie a głównym środkiem zabijania wybuch bomby atomowej”. Amerykański generał Sarnoff ogłosił „nowy plan zniweczenia komunizmu” zaprobowany przez Białą Dom: „pokój jest tylko pozorny...” obowiązkami naszym i najlepszą szansą ocena jest w ostatecznej analizie kontynuowanie „zimnej wojny” aż do zwycięstwa (N.Y.U.S. News and World Report, 27. V. 55).

Ale bieg wydarzeń poszedł innym torem.

Historyczna konferencja w Bandungu zadała potężny cios „zimnej wojnie” i przygotowała do wojny gorącej, otwierając nowy etap walki z kolonializmem. Radziecki projekt rozbrojenia postawił dyplomatom Zachodu przed koniecznością wypowiedzenia się wobec opinii światowej za czy przeciw rozbrojeniu i stosowaniu broni masowej zagłady. Podpisany został Układ Warszawski, który w obliczu odbudowy niemieckiego militarystyki zespół niewyczerpane siły krajów pokonanych, stając się ostrzeżeniem dla rzecz-

ników „polityki siły”. Austriacki traktat stworzył jeszcze jedno neutralne państwo w Europie i rozbroił agresywną „twierdzę alpejską”. Radziecko-jugosłowiańska deklaracja przywróciła przyjazne stosunki Jugosławii z krajami socjalizmu i przekreśliła nadzieje kół agresywnych na wykorzystanie tego kraju jako zarzewia konfliktu na Bałkanach. Radzieckie propozycje nawiązania normalnych stosunków z Niemcami Zachodnimi oraz spotkania z Adenauerem wywołały głębokie poruszenie w całym Niemczech i zostały przyjęte z aplauzem przez większość opinii publicznej świata. Wizyta Premiera Nehru w ZSRR i w Polsce spotęgowała i rozszerzyła wpływ idei pokojowej współistnienia i współpracy państw o różnych ustrojach społecznych i politycznych. Wreszcie doszło do porozumienia czterech mocarstw w sprawie zwolnienia konferencji na najwyższym szczeblu, czego od lat domagali się wszyscy obrońcy pokoju.

Oto bilans najkrótszy ostatnich dwóch miesięcy — bilans wielostronny pełnej rozmachu i co najważniejsze, skutecznej o f e n s y w y p o k o j u.

Trudno dziś przepowiadać, czym się zakończy konferencja czterech, ale wszyscy muszą przyznać, że sam fakt zwolnienia jej wbrew polityce „zimnej wojny” jest widocznym dowodem ogromnego wzrostu roli i realnego wpływu światowej opinii publicznej, domagającej się coraz głośniejszej polityki rozmów, polityki odprężenia, rozbrojenia i współpracy międzynarodowej.

Światowa opinia publiczna przemówiła ważnym głosem na Zgromadzeniu Sił Pokoju w Helsinkach — był to głos dojrzałych i świadomych przedstawicieli narodów, poczuwających się do odpowiedzialności za losy ludzkości.

Warszawski Festiwal Młodzieży i Studentów, którego hejnał rozlegnie się nazajutrz po konferencji wielkiej czwórki, będzie głosem młodego pokolenia wszystkich kontynentów, głosem tych, do których należy jutro.

„Jesteśmy pełni promiennej nadziei — powtarzają młodzi w dziesiątkach krajów słowa wezwania do Warszawy — każdy z nas chce pracować, uczyć się, kochać, założyć rodzinę. Nigdy nie pogodzimy się z przygotowaniem do wojny atomowej i poświęcimy wszystkie nasze wysiłki, aby przeszkodzić jej rozpętaniu. Jesteśmy przekonani, że życie, że młodość, że nasza przyszłość mogą być ocalone”.

Tu, w naszej Warszawie, podadzą sobie ręce młodzi przeszło stu narodów, młodzi różnych ras, przekonań, wierzeń — młodzi krajów kapitalizmu i krajów socjalizmu, połączeni jedną myślą: że można, że trzeba żyć w zgodzie i przyjaźni, że jasną przyszłość i szczęście młode pokolenie może osiągnąć nie na polach bitewnych i nie na polu współpracy zgłiszczach, ale na polu współpracy wszystkich krajów niezależnie od różnic ustrojowych, na polu współzawodnictwa o postępowość materialną, o wyższy poziom kultury duchowej i fizycznej, o wyższy poziom życia.

Tu, w naszej Warszawie, podadzą sobie ręce ci, których wrogowie pokój chcą rozdzielić i przeciwstawić sobie, zatruć ich świadomość nieufnością, strachem i wzajemną nienawiścią, aby potem obrócić młodzież w posłuszną armię gotową zabijać i niszczyc.

Tu, w Warszawie, młodzież całego świata będzie się uczyć języka przyjaźni, wzajemnego szacunku wszystkich narodów, wielkich i małych, będzie poznawać prawdę o świecie, o rzeczywistych, nie skażonych przez sprzedajną prasę dążeniach ludów.

Nie jest celem Festiwalu wykazywanie wyższości jednego ustroju nad drugim. Nie o to chodzi, aby przekonywać młodzież z całego świata, że socjalizm jest lepszy od kapitalizmu. Chodzi o to, aby się przekonać, że najlepszy jest pokój, że niezależnie od tego, gdzie i jak żyjemy, niezależnie od różnic ustrojów społecznych i systemów politycznych powinniśmy siłą przyjaźni i solidarności młodego pokolenia udaremnić groźbę wojny, zapewnić pokojową współpracę narodów.

Dlatego hasła Warszawskiego Festiwalu — zakaz i zniszczenie broni masowej zagłady, rozbrojenie, likwidacja bloków wojennych i kolektywne bezpieczeństwo, prawo do niepodległości dla ujarzmionych i poszanowanie wolności wolnych, prawa młodego pokolenia: prawo do pracy i do równej płacy za równą pracę, prawo do nauki i kultury, prawo do wypoczynku, sportu i ochrony zdrowia, prawo młodych do udziału w życiu publicznym swego kraju —

wszystkie te zawołania towarzyszące bogatym spotkaniom i imprezom Festiwalu są do przyjęcia dla wszystkich, odpowiadają pragnieniom, dążeniom, marzeniom, młodych wszystkich krajów.

Oto dlaczego Warszawski Festiwal ma miliony przyjaciół, ale ma również wrogów.

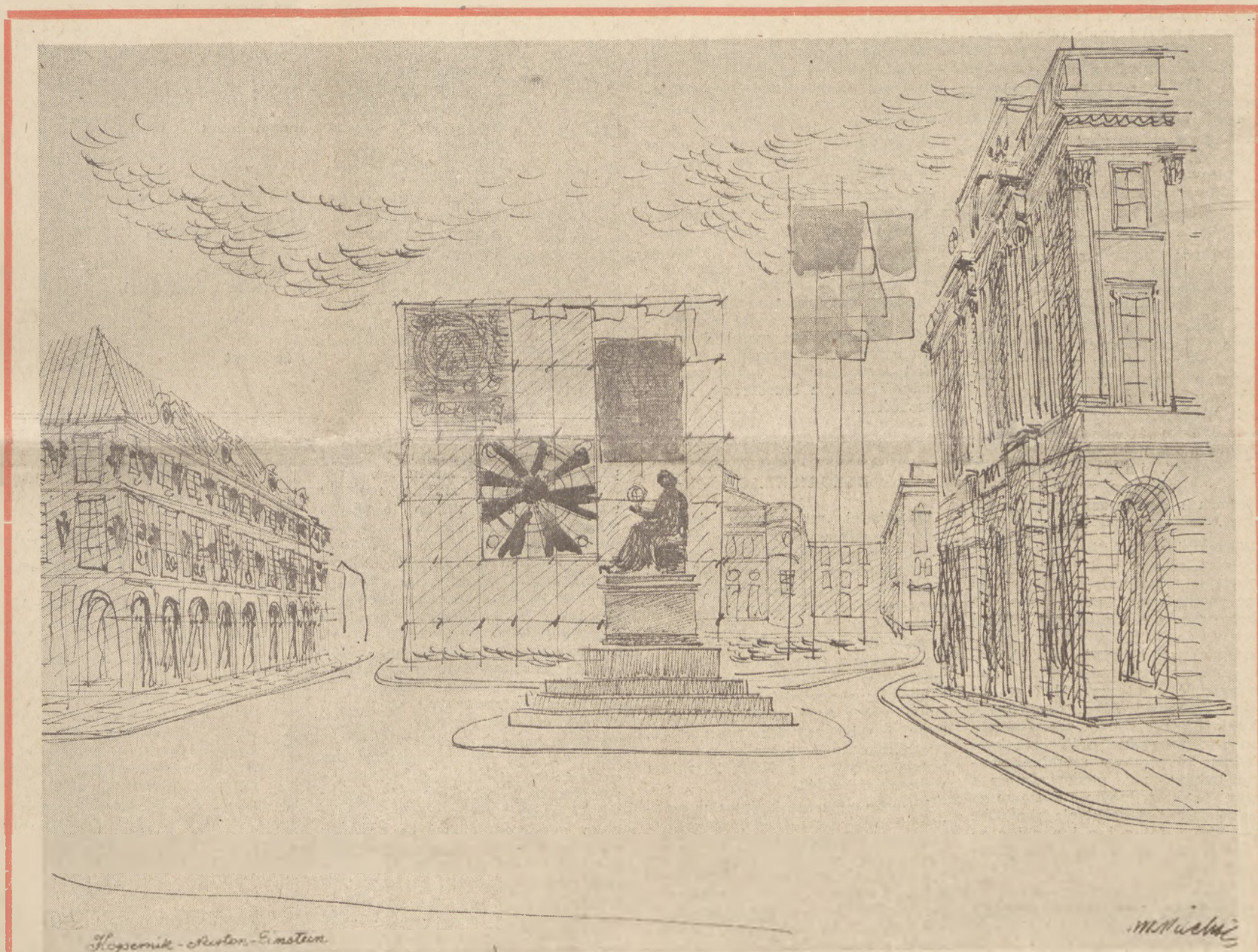
Jedni chcą zabić Festiwal milczeniem, ciszą — inni próbują go zagłuszyć wrzawą, że to „komunistyczna impreza”. Daremnie! Echo Warszawskiego Festiwalu rozędzie się szeroko po świecie. Echo pieśni znad Wisły rozlewać się będzie nad Sekwaną, nad Wolgą, nad Hudsonem, nad Amazonką, nad Gangesem. Uczestnicy Festiwalu, wzbogaceni wiedzą o innych narodach, przejęci entuzjazmem tego wielkiego spotkania, świadomi siły solidarności międzynarodowej, staną się w swych krajach zwiastunami idei po-

cołowe orkiestry jazzowe Francji i Anglii (Jerry Mengo i Littleton), i Berliner Ensemble, radziecki balet Teatru Wielkiego i zespół paryski Jacques Fabri, czołowy zespół muzyczny z Teatru Ludowego Brazylii i The Ballad Opera w wykonaniu brytyjskiego Workshop Theatre, centralny chór japoński i Opéra de Chambre de Paris, zespoły taneczne i muzyczne z krajów arabskich i liczne zespoły pieśni i tańca z krajów demokracji ludowej, wybitni soliści z Indii, Brazylii, Holandii, Bułgarii, Francji, Japonii i in. W konkursach twórczych, których rozstrzygnięcie nastąpi w wileń Festiwalu, weźmie udział 50—55 krajów. Do 29.VI wpłynęło 418 dzieł i utworów — m. in. z dziedziny plastyki 83, z literatury 172, z muzyki 92, fotografii 43, filmu 17, malarstwa, rzeźby, grafiki, sztuka ludowa z różnych stron świata zostaną w czasie Festiwalu wystawione w „Zachęcie”.

soką ocenę, zapewne lepszą od malarstwa. Teatr polski, jak nierzadko w czasie tournée za granicą, będzie cieszył się niewątpliwie powodzeniem wśród wielu naszych gości.

Jednakże trudno nie podkreślić pewnego naszego bezwładu w dziedzinie twórczości. Nadchodzący Festiwal w sercu Polski, z całym jego poleźnym ładunkiem emocjonalnym idei braterstwa międzynarodowego, której służyli najwybitniejsi polscy twórcy, nie stał się dotąd dla naszych pisarzy, kompozytorów i publicystów bodźcem do nowych twórczych wysiłków. Wprawdzie na konkursach poetyckich napłynęły prace 274 autorów, ale był to raczej wyraz entuzjazmu początkujących niż przegląd twórczych osiągnięć. Wprawdzie na konkurs przedfestiwalowy wpłynęło 287 kompozycji pieśni masowych, ale można już przepowiedzieć, że prawie żadna z nich nie stanie się pieśnią Festiwalu.

także aktywne poparcie szeregu komitetów olimpijskich (Egiptu, Syrii, Libanu, Włoch). Szantaż i nacisk stosowany w niektórych krajach wobec czołowych sportowców, aby wycofali swe zgłoszenia, nie potrafi podważyć tego niewątpliwego sukcesu Igrzysk. Kraje socjalizmu wysyłają swoje czołowe narodowe reprezentacje. Będą to więc spotkania międzynarodowe na najwyższym poziomie. Zmierza swe siły sportowcy kilkudziesięciu krajów, i można mieć nadzieję, że padną nowe rekordy świata. 12 krajów zgłosiło dotąd swój udział w zawodach kolarskich, 12 — w tenisie stołowym, 14 krajów w lekkoatletyce, 11 w piłce nożnej, 10 w pływaniu. Hokej na trawie będzie m. in. reprezentowany przez bezapelacyjnego mistrza świata — drużynę Indii. W zawodach bokserskich walczyć będzie co najmniej 10 krajów, w szermierce 7 krajów. Gdyby nie trudności natury



Szkice do projektu dekoracji festiwalowej na Krakowskim Przedmieściu. W głębi — Teatr Polski. Pomnik Kopernika na tle portretów Newtona i Einstein. Po prawej — gmach PAN.

koju, krzewicielami przyjaźni i wzajemnego zaufania narodów.

Myślę, że nie dość szeroko mówi się i pisze o tym międzynarodowym znaczeniu Festiwalu dla sprawy pokoju, dla wychowania młodego pokolenia w duchu solidarności i braterstwa. Myślę, że nazbyt często sprowadza się Festiwal do wielkiej zabawy, do rozrywek kulturalnych i zawodów sportowych.

Każdy dzień Festiwalu zawiera przebogaty program imprez artystycznych, kulturalnych, rozrywek sportowych, wszelakiego rodzaju spotkań i wspólnych radosnych przeżyć młodzieży wielu krajów. Ale wszystko to przeniknięte jest ideą p r z y j a z n i, która przyobleka się w różnorodny kształt szlachetnego współzawodnictwa na stadionach, rywalizacji w konkursach artystycznych, masowych występów zespołów pieśni i tańca, koncertów chórów, orkiestr i solistów, widowisk teatralnych, pokazów cyrkowych, wspólnych wycieczek i zabaw.

Wiele krajów pokaże w Warszawie najlepsze osiągnięcia swej kultury w wykonaniu młodych, i nie tylko młodych. Będzie to najbardziej międzynarodowy przegląd kultury, jaki kiedykolwiek widziano w Warszawie i w świecie. Na scenach i estradach Warszawy ujrzymy w ciągu 14 dni około 450 programów artystycznych przeszło 40 narodów i około 100 programów międzynarodowych z udziałem 60 narodów. Sztuka współczesna spotka się z sztuką klasyczną, sztuka klasyczna z sztuką ludową, sztuka Zachodu z sztuką Wschodu — Chińska Opera

W konkursach młodych muzyków, tancerzy, śpiewaków — odbywających się równocześnie w 10 salach — uczestniczyć będzie młodzież dziesiątków krajów, Zgłoszenia wciąż napływają.

Międzynarodowy pokaz filmów — niezależnie od wzbogaconego i rozszerzonego o kilka dziesiątków nowych pozycji repertuaru naszych kin — obejmie wiele filmów przywiezionych przez młodzież, m. in. filmów japońskich, egipskich, włoskich.

Wreszcie czołowe osiągnięcia sztuki cyrkowej zaprezentują zespoły: radziecki, chiński, węgierski, czechosłowacki, niemiecki, polski i inne.

W składzie międzynarodowego jury konkursów gościć będziemy na Festiwalu wielu wybitnych artystów i pisarzy, jak Lazare Lévy, słynny pianista i pedagog, oraz Louis Daquin, reżyser filmowy — z Francji, Akiko Seki z Japonii, Nicolas Guillen z Kuby, Nazım Hikmet z Turcji, Chrennikow z ZSRR, artysta malarz Afardi z Indonezji, pisarz z Iranu Alawi Bozor, prof. Emile Bosquet z Belgii, Joris Ivens z Holandii, i inni.

Polskie zespoły artystyczne, zawodowe i amatorskie, które zaprezentują około 140 narodowych programów, znajdują się — mamy nadzieję — w czołowie Festiwalu. Również nasi młodzi soliści, zwłaszcza muzycy — laureaci Konkursu Chopinowskiego, zajmą najpewniej zaszczytne miejsca. Sztuka ludowa, która odniosła największe, niezaprzeczalne sukcesy w przygotowaniach przedfestiwalowych, na pewno uzyska wy-

Czy polscy poeci i kompozytorzy pogodzą się z tymi niepowodzeniami w chwili, gdy możemy wstawić imię Polski i naszej sztuki wśród tylu narodów?

Czy nie ponoszą tu winy organizatorzy naszego życia kulturalnego, zwłaszcza stowarzyszenia twórcze i czasopisma, że tak niewiele uwagi, troski i miejsca udzielają sprawie dorobku z którym Polska wystąpi na Festiwalu?

Trzeba stwierdzić, że z wszystkich oddziałów naszej inteligencji twórczej najczynniejszy udział w pracach przedfestiwalowych biorą dotąd architekci i plastycy, autorzy projektów budownictwa sportowego, upiększenia i dekoracji miast.

Z okazji Festiwalu odbędzie się największa w naszym kraju międzynarodowa impreza sportowa — II Igrzyska Młodzieży. Ponad 200 ekip z 44 krajów — łącznie ponad 4.000 sportowców (stan na 29.VI) — będzie walczyć na stadionach, boiskach i pływalniach o tytuły mistrzowskie w 23 dyscyplinach sportu. Najlepiej będą reprezentowane: lekkoatletyka, piłka nożna, pływanie, koszykówka.

Igrzyska staną się niewątpliwie najdonioślejszym przedolimpijskim międzynarodowym wydarzeniem sportowym. W odróżnieniu od poprzednich Igrzysk, w których narody reprezentacje krajów kapitalistycznych uczestniczyły w wąskim tylko zakresie, Igrzyska w Warszawie uzyskały oficjalne uznanie w przytaczającej większości międzynarodowych sportowych federacji, a

finansowej, zasięg Igrzysk mógłby w warunkach ich szerokiego rozgłosu przekroczyć wszelkie oczekiwania.

Dla Polski II Igrzyska Młodzieży to egzamin i przegląd dorobku dziesięciolecia rozwoju sportu w nowych warunkach. Polska reprezentacja sportowa weźmie udział we wszystkich 23 dyscyplinach sportu. 619 reprezentantów Polski zostanie wybranych spośród 1.100 sportowców, którzy trenują na obozach, szykując się z zapalem, z szlachetną ambicją do tego największego spotkania w historii polskiego sportu.

Jakie miejsce zajmą Polacy, jak będą bronić naszych barw przy tak licznej i silnej konkurencji? Najpoważniejsze szanse mamy w boksie i w szermierce, duże — w kolarstwie, w niektórych konkurencjach lekkoatletyki i pływania, w siatkówce i koszykówce drużyn kobiecych, w wioślarstwie i zawodach motocyklowych na żużlu. Ale jakiegokolwiek miejsce zajmą nasi sportowcy — w tej czy innej dyscyplinie sportu — ambicja są tu słusznym napięciem. Igrzyska staną się dla nas wielką szkołą mistrzostwa sportowego, terenem wymiany doświadczeń i metod, wspaniałą okazją umocnienia więzów przyjaźni z młodzieżą ze wszystkich stron świata.

Warszawski Festiwal to najszerze bezpośrednie i żywe spotkanie młodzieży polskiej z młodzieżą świata, a ściślej mówiąc: z młodzieżą dwóch światów, kapitalistycznego i socjalistycznego.

[Dokończenie na str. 2]

DANUTA ZABŁOCKA

O miłości — jednoznacznie

Problemy miłości wśród młodzieży nie mają zbyt długiego rodowodu opracowań publicystycznych czy literackich. Przed trzema laty, na łamach „Przeglądu Kulturalnego” rozprawił się grzmiący z przemilczaniem i zakłamywaniem tych spraw Putrament, kończąc swój wywód następującymi zdaniem: „wielbimy Boya od święta, na co dzień zaś jakże często ulegamy księdzu Pirożyńskiemu. Znakomita większość naszych książek wywołaby w nim wprawdzie opory z powodów politycznych, ale jeśli chodzi o „te rzeczy”, z pewnością wzbudziłyby zachwyt”.

W ostatnich dniach maja i pierwszych czerwca, w dwu kolejnych, niedzielnych felietonach podniosłem tematycznie pioniersko „Życie Warszawy”. Władysław Kopaliński odnotował fakt mnożących się niesubnych ciężych dziewcząt, stwierdził słusznie, że zbyt wcześnie zaczęte życie seksualne degeneruje uczucia, a we wnioskach sformułował postulat doskaskający: uświadomienie (można przypuszczać, że chodzi mi o decydujący mierz o seksualne) oraz udostępnienie młodym środkom antykoncepcyjnym. Mirosława Parzyńska („O miłości, dzieciach — i o uświadomieniu”), na marginesie listu studentki geodezji, Aliny, bliskiej desperackich czynów z powodu ciąży i perspektyw szybkiego małżeństwa w nienajlepszych warunkach mieszkaniowych, pisze: mówmy o miłości, o odpowiedzialności obojga rodziców, organizujmy na ten temat odczyty, wreszcie proponujmy otwarcie sieci poradni, w których m.in. młodzi „w głęboko uzasadnionych wypadkach” mogliby „otrzymać odpowiednią pomoc lekarską”. „Myślę — pisze Mirosława Parzyńska — że byłoby to pierwsza zapor, powstrzymująca młodych przed zawieraniem zbyt pochopnych, lekkomyślnych małżeństw... Byłby to... pierwszy krok, który pozwoliłby takim jak Alina uniknąć przypadkowego macierzyństwa”.

Tak więc w pierwszym artykule, może przez nadmierną ogólnikowość, wnioski zaprzeczają założeniu, udostępnianie bowiem sześnasto — i siedemnastolatkom, zwłaszcza dziewczętom, środków antykoncepcyjnych i poradni świadomego macierzyństwa potrzeba, aby wprowadzić ostateczny ład w jej życie erotyczne? Albo: czy nasza młodzież jest aż tak zdemoralizowana, że wszystkie próby przekształcania jej postawy moralnej skazane byłyby na niepowodzenie i wobec tego jedynym sensownym posunięciem jest regulacja skutków, korektura fizjologiczna i następstw jej życia płciowego?

ROZDZIAŁ PIERWSZY TYCH SPRAW: MIŁOŚĆ I „ŻURAWLEWIZM”

Niewątpliwie, jeżeli 19-letnia dziewczyna, prowadząca tzw. lekkie tryb życia, na pytanie, czy nie myśli wyjść za mąż i zacząć żyć po ludzku, odpowiada kpiącym śmiechem, można jej postawę potraktować jako wyraz ostatecznego cynizmu i

jeszcze jeden argument za rozwiązaniami prowadzącymi się do środków antykoncepcyjnych i poradni świadomego macierzyństwa. ZMP-owszy działacz z Nowej Huty, która zyskała już smutną opinię miasta bardzo nieuporządkowanej miłości młodych, z niejednym takim śmiechem kpiącym się spotykali. Ale ludzie znający Nową Hutę wiedzą o jej młodzieży coś więcej.

W Nowej Hucie (do niedawna) pobrali się 372 małżeństwa. Do dziś dnia prawdopodobnie, mimo radykalnej ostatnio poprawy, 200 z nich mieszka nadal osobno, w męskim albo żeńskim hotelu robotniczym. Nikt bowiem jakoś nie zatroczył się o to, aby część hoteli przeznaczyć dla małżeństw. Następstwa? Mąż waha się, albo i nie, jak złodziej zakrada się wieczorem do żony, do pokoju, w którym mieszka prócz niej troje albo czworo innych dziewcząt. Czy trzeba szukać bardziej brutalnych, demoralizujących sytuacji? Czasami zresztą małżeństwa wstydzą się. Idą wtedy do parku, w pole, gdzie również... przyparzają Nowej Hucie smutnej opinii miasta bardzo nieuporządkowanej miłości młodych.

Każdy z nas zgodzi się, że musimy naszą młodzież uczyć szacunku dla przeżyć erotycznych. Uczyć zwłaszcza tę młodzież, dla której przybycie do produkcji jest pierwszą szkołą socjalistycznej postawy. Ale takie słowne zapewnienia dopóty będą frazesem i obłudą, dopóki sami będziemy demonstrować brak szacunku dla tych przeżyć; dopóki ż u r a w l e w i z m u, postawy owego dyrektora Żurawlewa z „Odwilży” Erenburga — widzenia w podległych dyrekcji pracowników wyłącznie siły roboczej — nie będziemy piętnować i tępić jako działalność szkodliwą dla rewolucji; dopóki dyrektorów usuwa się tylko za zaniedbania spraw produkcji; dopóki nie udowodnimy, że sprawy osobiste, moralne, traktujemy z taką samą troską jak produkcyjne. Rozdział pierwszy tych spraw zamykałby się więc postulatem: przede wszystkim zauważmy konieczność podjęcia walki o warunki dla socjalistycznego, ludzkiego pojęcia młodzieży zatrudnionej w produkcji (a tam gromadzi się jej znakomita większość), walki z cynizmem oportunistycznym wielu dyrektorów i przewodniczących, z (najczęściej) frazesem o „obiektywnych trudnościach”, z biurokracją i bezdušnością.

PUNKT NASTĘPNY: O IDEOLOGICZNEJ DEZORIENTACJI

Opowiadał mi pewien działacz partyjny odpowiedzialny za sprawy młodzieży robotniczej, że w niektórych ośrodkach przemysłowych spotykał nie tylko poszczególnych wyrostków współzawodniczących między sobą w ilości posiadanych dziewcząt, ale całe brygady liczące się cyframi z tego zakresu. Co najważniejsze — dodał — wielu partyjniaków nie wiedziało, jaką właściwie wobec tych spraw zająć postawę. No bo przecież, rozumowali, nasza moralność to walka z moralnością religijną, a Kościół zaleca wstrzeźliwość...

Dezorientacja ideologiczna w sprawach życia erotycznego, więcej: w sprawach postępowania w życiu prywatnym w ogóle — cechuje nie tylko część partyjników. W większym bodajże stopniu reprezentuje ją odłam postępowej inteligencji, wychowanej w mieszczkańskich domach i mieszczkańskiej szkole wolnomyślności — i wreszcie nierzadko sama młodzież ZMP-owska. Zrywając z dekalogiem i protestując przeciw absolutnej, ponadczasowej moralności, środowiska te skłonne są do akcentowania w moralności wszystkiego co względne. Hasła wyzwolenia o s o b y ludzkiej prze-

śniąją im pojęcie obowiązku społecznego. Ta skłonność do relatywizmu i liberalizmu u tych pierwszych ma jakieś uzasadnienie we wzrastaniu w klasie, w której każdy z „na własną rękę” — u młodzieży zaś w światoburczym radykalizmie. Postawa taka prowadzi w następstwach do negacji obiektywnych kryteriów moralności w zakresie życia prywatnego. Prowadzi do traktowania postępowania w życiu prywatnym jako sprawy indywidualnej, do utilitaryzmu i — w ostatecznych konsekwencjach — do obojętności na rozciągłość i na ładnictwa. Taką chyba jest społeczna geneza każdego rozwiązania praktycznego, którego ostateczny sens sprowadza się do stwarzania społecznych warunków dla tzw. wolnej miłości. Dezorientacja i niewiedza wprowadza w stan zakłopotania towarzyszy z zakładów, o których opowiadał mi ów działacz partyjny. Niewiedza i uleganie mieszczkańskiemu pojęciu pozwala kolegom np. z krakowskich kół ZMP toierować studentki prowadzące (ku olbrzymiej satysfakcji wstecznicwa głoszącego, że marksizm jest amoralny) bardziej niż lekkie tryb życia.

W Zambrowie w kombinacie włókienniczym znalazło się około 2000 dziewcząt w wieku 16—19 lat, po szkole zawodowej, początkowo, zupełnie zamkniętych przez dyrekcję, pozostawionych bez rozrywek kulturalnych i zajęć. Łatwo się domyśleć, jak ta sytuacja odbiła się na ich życiu erotycznym. Później energicznie wkroczył w te sprawy ZMP. W indywidualnych rozmowach z dziewczętami mówiono: „ogładasz się za każdym; popatrz najpierw, czy on wart ciebie”. Te najprostsze słowa stanowiły dla niektórych wstrząs. Nie myślały nigdy o tym, że stosunek do chłopca można i należy uzależniać od jego wartości osobistej.

A gdyby to samo powtórzyło moim znajomym z widzenia dziewczętom? Czy też wstrząsnęłyby nim to odkrycie i wpłynęło na ich postępowanie? Przypuszczam, że nie. W tej sytuacji nie.

Gwarancji zachowania godności dziewczyny czy chłopaka można szukać tylko w ich osobistym poczuciu wartości. W przypadku moich znajomych nie ma obiektywnej możliwości zastąpienia czymkolwiek tego miernika wartości osobistej.

JULIA HARTWIG NAPOMNIENIE

Otwarla sięby deszczem zalane
Burza wiosenna, wiatr.
Kiśdy wszedł
Błyskawica cięła lustro jak diamentem
Pisała do niego list
Jaskrawy jak żrenica psa.
W potokach wody odpływały sprzęty
Zbierane skrzętnie od lat.
Skaczące gwiazdy odbijały się
W lśniącym blacie stołu.
Stanąwszy w drzwiach swego domu
Pojął
Sercem nabrzmiałym.
I pozdrowił burzę
I prosił by skierowała znów swe wody
Na liście i ziemię dudniącą
A sam uładzi przy zamkniętym palenisku
Począł lepić z popiołu i gliny
Wizerunek małego kruchego ptaszka.
A pili go i kleił w trudzie, trosce i beznadzi
A jednak na ustach jego
Był uśmiech tak pogodny
Że przez odległy grzmot
Przedarł się aż tu cichy świergot
Nawołującego pisklęcia.

Uleganie mieszczkańskiemu pojęciu pozwala milczeć pisarzom.

Jeżeli 16-letnia służąca zostanie uwiedzona przez kulaka, to pisarz, publicysta, dziennikarz widzi w tym problem klasowy i moralny, wart pióra. Natomiast 16-letnia mieszkanka hotelu robotniczego oddająca się pierwszemu lepszeemu mężczyźnie przez brak szacunku dla tego rodzaju przeżyć nie stanowi jeszcze, ich zdaniem, wyrażnego problemu moralności socjalistycznej. Chłopak traktujący dziewczynę jako źródło chwilowego zaspokojenia, odrzucający pogardliwie projekty trwałego związku, chłopak przybierający wobec koleżanek postawę dziedzica czy ekonomia w stosunku do służby — również tego problemu nie stanowi. W walce z brutalnością i egoizmem w pożytku płciowym, z wyznaniem, z wyszyskaniem niewiadomości i naiwności dziewczęta, z całym tym plugawym dziedzictwem stosunków opartych na oszustwie — nie dostrzegają elementów walki między starym a nowym światem.

O miłości musimy mówić w sposób jednoznaczny. Musimy pisać, że wychowujemy dla przeżyć uzasadnionych uczuciów. Musimy pisać, że w y c h o w u j e m y d l a m a ł e ż e n s t w a.

JAK ROSNĄ PROSTYTUTKI

Obserwuję je od trzech lat. Kiedy miały po 15 lat, któreś niedzieli pierwszy raz ufrizowały sobie włosy, wpięły w nie anemiczne kwiatki i trzymając się za ręce wyszły świątecznym popołudniem na bezcelowy, nudny spacer po rynku. A rodzinne miasteczko, to właśnie to, gdzie — jak pisze Pasternak — „po witrach nuda z bida, gnioły, co nigdzie już — nie idą, tu czasem kino objazdowe, ciwarka, lub wino poręczkowe...” Żadna z nich nie skończyła więcej niż 5 oddziałów szkoły podstawowej. Niewiele później zrzuciły z siebie domową robotę i zgłosiły się do nowoutwar-tej fabryki tkackiej. Czy mają tam jakieś możliwości zdobycia kwalifikacji, awansu? Raczej minimalne, a i z tych nie korzystają. Gazet żadna nie czyta, książek tym bardziej. Jedynym źródłem radości stały się potanówki na „dechach”. Jedynym źródłem poczucia osobistej wartości ubranie, a sprawdzianem zainteresowania się nimi chłopcy.

Kilka razy też widziałam je w towarzystwie pijących w zaciśniętym rowie koło toru kolejowego. Nie wiem, czy oddają się za pieniądze. Ale fakt, że nie proponują im małżeństwa, i że po jakimś czasie każda z nich jest porzucana, uważają za prawo żywiole dziewcząt w ich sytuacji społecznej i materialnej. Są „trzeźwe”, brutalne i nie oczekują zbyt wiele od życia. Może to są właśnie dziewczęta, którym trzeba tylko umożliwić wstęp do poradni świadomego macierzyństwa i nie próbować nawet wpłynąć na ich postępowanie?

jakim są dowody zainteresowania chłopców. Nie ma możliwości udostępnienia innych, szlachetniejszych przeżyć radosnych. Zakoście, nudne miasteczko z kilkoma warsztatami tkackimi...

Myślę, że te moje znajome z widzenia stają się prostytutkami z beznadziejności swojego życia i nudów; z naszego zubożnienia, omijania tzw. terenu, godzenia się na rozdział między patosem „wielkiej historii” a świadomością i przeżyciami przeciętnego jej twórcy. Ale na pewno nie jest to dla nich droga nieunikniona.

WNIOSKI MOŻE RYZYKOWNE

Są w medycynie choroby powodujące wybiórką, męczącą temperaturę, której lekarze nie obniżają sztucznie, aby nie zatrzeć od razu działania właściwych środków, aby się doszukać prawdziwych przyczyn choroby i opanować ją.

Wydaje mi się, że wysuwanie na czoło rozwiązań spraw życia erotycznego młodzieży środków antykoncepcyjnych i poradni świadomego macierzyństwa prowadzi do jakiegoś oddalenia z naszego pola widzenia społecznych, klasowych, świadomościowych warunkowań złej sytuacji w tej dziedzinie, że są to rozwiązania pozorne, w jakiejś mierze defetystyczne, kompromisowe wobec przyczyn. Nie zaczynamy od sztucznego obniżania temperatury. Zaczynamy od nielatwej, dociekliwej, twórczej analizy tych warunkowań, których ledwie część tu zarysowałam, zaczynamy od czynniejszego zaangażowania w walkę z nimi prasy, organizacji młodzieżowych. Niech najpierw sprawy życia erotycznego znajdą się na warsztacie reportażu, zebrani organizacji partyjnych i dyrekcji, opowiadań... Literatura, i chyba tylko literatura, może wprost do młodzieży przemówić o godności życia i o wymaganiach, jakie jej postępowaniu stawia szacunek dla człowieka. Nasza literatura musi zacząć uczyć szlachetności przeżyć erotycznych, uczciwości, czystości uczuć. Musi podjąć walkę o chronienie kruchego, bezcennego skarbu, jakim jest młode, wrażliwe życie, przed zniszczeniem, brutalnością i wyuzdaniem. Taki chyba powinien być początek. I dlatego, bo ja wiem — czy naprawdę Boy jest nam potrzebny częściej niż od święta?...

Danuta Zabłocka

Artur Starewicz

LISTY DO POLIKARPA

O WERSZACH JANA BRZECHWY

Zacny Polikarpie! Wiele lat w moim pokoju nie było książek dla dzieci. Odeszły one razem z kotem w butach, ołowianymi żołnierzami, mądrymi baśniami Andersena, ba, nawet z okrutnymi i krwawymi bajkami braci Grimmów. Odeszły razem z ogrodem mojego dzieciństwa, z rozłożystym orzechem, z gołębiarnią wznoszącymi się nad podwórkiem. A jeśli czasem książki te wracały już jako ulotne wspomnienia to trudno było je oddzielić od całego dzieciństwa. Przyszły dołączyć do zapachem drzew, których już nie było, przybierały rysy zabawek, nieistniejących od dawna. Przyczyniły niespodziewanie, niekiedy w ciężkich i tragicznych momentach mego życia, uśmiechały się do mnie figlarnie i odchodziły zdawało się na zawsze.

I oto po wielu latach zjawili się znnowu. Przyszły razem z zabawkami, z samochodem wywrotką, z mrużącymi miem i z niemrużającą lalką. Przyszły razem z dziećmi, których uśmiechy poszerzają mój pokój. Przyszły z pierwszymi pytaniami o świat, z pierwszymi smutkami, z zamyśleniami i z bliskimi ciekawych oczu. Przyszły książki z odwiecznymi innymi dziećmi, razem z zabawą i z niegrzecznie napisanymi pierwszymi literami, które są ogromne, na całą stronę i przechylone we wszystkie strony.

Lubię czytać dzieciom wiersze i baśnie, ale bardziej jeszcze lubię obserwować ich twarze. Ciekawi mnie zawsze jaki wiersz, jaka powiastka zostanie przez nich przyjęta. Porównuję ze swoimi wspomnieniami, porównuję z sądami krytyków i przemówieniami, które wypowiedziane bywają autorytatywnie i namiętnie zwłaszcza przez niektórych nieświadomych z tzw. „sekcji straszenia dzieci” jak złośliwie pisze Artur Marya Swinarski.

Nigdy w tych sprawach nie zabierałem głosu, nie czuję się kompetentny, ale mam wrażenie, że najbardziej w tym wypadku miarodajne jest zdanie dzieci. Ileż razy ci, którzy w imieniu dzieci przemawiają, i ci, którym wydaje się, że są pedagogami, wydają abstrakcje, które nie albo prawie nie znaczą. Iluż jest takich, którzy pisząc, jak im się zdaje, dla dzieci, nie lu-

bia dzieci, traktują je z wysoka lub groźnym palcem ciotki wybuchając przed nosem małych czytelników.

Niespostrzeżenie dla siebie i ja stałem się czytelnikiem pism i książek dziecięcych. I lez w literaturze dla dzieci gnieździ się fałszywej ciekawości, z którejś tam ręką, taniej nastrojowości z popluczyn „Młodej Polski”, a jak mało jest prawdziwej poezji i wiedzy o dzieciach. Z wysokości swego autorytetu niektórzy autorzy sepienia, rozrzucają niedoromyki, tworzą parodie wierszy. Zapominają o tym, że sąd dzieci jest często surowszy od sądu dorosłych. Dzieci są szczere, ach, to przywilej młodości Polikarpie, i doskonale rozróżniają co jest dobre a co zmyślone. Jestanie dla dzieci nie może być intratną emeryturą, wymaga dużego artysty i wielkiej inteligencji.

Przecież milionowe nakłady wierszy Tuwima dla dzieci nie są przypadkiem, przypadkiem również nie jest powodzenie wierszy i baśni Jana Brzechwy. Jeśli wobec Tuwima nikt nie odważył się wytoczyć groźnych armat pseudopedagogicznych, to z całą furją armaty te zagrały przeciwko Brzechwie.

Kochany Polikarpie, czy przypominasz sobie co na temat tych wierszy wygadano, jakie złośliwie i trujące sądy w rozmaitych dyskusjach padały pod jego adresem! Gdyby te strzały i armaty miały moc śmiertelności, to z bogatej twórczości Brzechwy nie pozostałoby śladu.

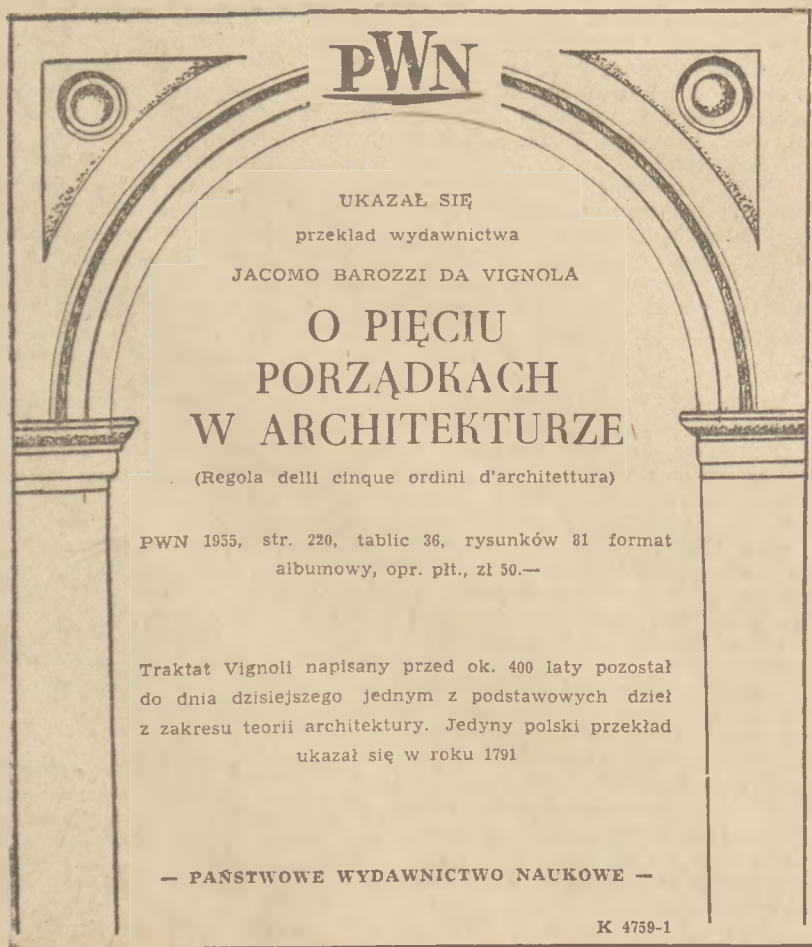
Jakie były zarzuty? Przede wszystkim: wiersze Brzechwy są rzekomo antypedagogiczne i pozabawione dydaktyzmu, że są za trudne dla dzieci, zbyt skomplikowane i ekskluzywne, że tylko część dzieci ewentualnie może je pojąć, że humor Brzechwy nie jest odpowiedni dla dzieci, że jest zbyt trudny. Oto drobny rejestr „win” Jana Brzechwy. Zarzuty były ostre i sprawa byłaby całkowicie wygrana dla krytykujących, gdyby... nie dzieci. A one bardzo lubią Brzechwę. Szczere przejmują się jego wierszami, serdecznie się nimi bawią. Nieraz zadawałem sobie pytanie dlaczego tak jest?

Brzechwa nie bagatelizuje swoich małych czytelników i za-

Idea solidarności międzynarodowej, duch internacjonalizmu i braterstwa, które krzewimy wśród młodego pokolenia Polski Ludowej, zmaterializuje się w czasie Festiwalu, przekształci się w codzienne spotkania, uściski dłoni, wspólne przeżycia, zabawy, widowiska, zawody — w zbliżenie i przyjaźń żywych ludzi. Będzie to lekcja internacjonalistycznego wychowania dla wszystkich uczestników Festiwalu. Będzie to sprawdzian słuszności naszych słów — bezcenny kapitał moralny Festiwalu, który stanie się dorobkiem naszej młodzieży. W idei solidarności międzynarodowej wynikającej ze wspólnoty dążeń i interesów narodów, w przyjaźni młodego pokolenia, kryją się olbrzymie zasoby energii społecznej, entuzjazmu, gotowości do wysiłków, do ofiarności, do walki o sprawę pokoju, o rozwój kraju, o zwycięstwo socjalizmu. Świadomość naszej młodzieży, że z nią są „dziesiątki i setki milionów młodych w innych krajach, że miliony jej rówieśników i braci chcą tego samego co ona, że widzą w jej prawach i zdobyczach przykład dla siebie, podnieśli moralnie i duchowo młode pokolenie Polski.

Wydaje się, że wciąż nie doceniamy tych możliwości, jakie otwiera Festiwal dla pogłębienia patriotycznego i internacjonalistycznego wychowania naszej młodzieży. Dobrze się dzieje, że ZMP rozwija wśród młodzieży szeroki ruch współzawodnictwa o prawo udziału w Festiwalu — współzawodnictwa w produkcji, w nauce, w sporcie, w pracy kulturalnej. Ale źle jest, gdy na czoło naszych przygotowań wysuwa się tylko radosna nadzieja ciekawych spotkań i znajomości, oczekiwanie na egzotycznych przyjaciół, zabawy i niezwykle sportowe spotkania, gdy się zatracą i gubi wielki ogólnoludzki sens Festiwalu, jego miejsce i wpływ w zmaganiach sił wojny i pokoju. Nie bez winy jest tu nasza prasa, która wciąż oświetla Festiwal głównie jako wielki karnawał, jako zabawę, rozrywkę i sensację, a słabiej jako doniosłe wydarzenie w walce o pokój, o rozładowanie międzynarodowego napięcia.

Jesteśmy gospodarzami Festiwalu. Jest to dla nas nie tylko zaszczyt, ale o b o w i a z e k. Obowiązek, żeby uczynić wszystko co w naszej mocy, aby V Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń wywarł jak najgłębszy wpływ na świadomość młodego pokolenia tworzącego pokojowe jutro ludzkości.



P.S. Zapewne zauważacie, że w ostatnim numerze „Życia Literackiego” Herdegen zaczyna „naśladować” nasze listy, grymasząc przy tym z okazji naszych felietonów. Tak to bywa, gdy ktoś nie ma własnej inwencji.

Złudzenia i mity pani Bossinger

Mokradła Lobau są porośnięte gęstym, karłowatym laskiem. Grzęzawisko jest niebezpieczne, niejedyn śmiały tonął tutaj, dalek remnie wzywając pomocy. Nocami rozlega się na tym pustkowiu żałosny rechot zab i odległe ujadanie wiejskich psów, które strzegą zabudowań chłopskich w Aspern.

Między grzęzawiskiem Lobau a wsią Wagram biegnie naturalna grobla. Wokół zielenia się pola, smętne, porośnięte chwastami.

Szóstego lipca 1809 roku okrutny marszałek Davout wiódł tędy siedemnaście batalionów starej gwardii wspieranych huraganowym ogniem artylerii. Davout, wysoki, barczysty jegomość o pogardliwym wyrazie twarzy — tak go przedstawia portret pendzla Grosa — miał rozkaz oskrzydląć armię arcyksięcia Karola. Gnał więc swe wojska przez mokradła w szaleńczym ataku na wioskę Wagram leżącą na wzgórzu. Francuzi padali rażeni ogniem austriackim, a bagna wciągały ich głęboko w ohydny ton. Wieczorem Wagram zostało zdobyte, Austriacy rozgromieni. Cesarz otoczony sztabem jechał przez pole bitwy oświetlone blaskami pożarów.

Może wyglądał wówczas tak właśnie jak przedstawia go wielki plakat reklamowy firmy Vacuum Oil, rozpięty nad polami historycznej bitwy? Cesarz ma twarz surową i zamyśloną. Za nim stoją marszałkowie, adiutanci, szeregi wojska. Nieco niżej drga olbrzymi zielony napis neonowy: „Gdyby Napoleon miał naftę Vacuum nie przegrałby wojny z Rosją”.

Na Schwartzenberg Platz, w centrum Wiednia, firma Vacuum Oil rezygnuje z aluzji historycznych. Tutaj kosztowna i cuchnąca ciecz reklamowana jest powściągliwie i z godnością. Neony głoszą: „Nafta Vacuum znana jest na całym świecie”.

Trzeba przyznać, że zdanie to zawiera prawdę. Koncern Vacuum Oil rzeczywiście znany jest na całym świecie. To on zamordował Husseina i skazał na banicję Mossadika. On również spowodował dziesiątki krwawych bitew na Półwyspie Arabskim. On planował skrytobójcze zamachy i rewolucje pałacowe w Kolumbii i w Wenezueli. On opanoł rurociągi Mossul — Haifa i kieruje marionetkowym rządem Iraku. „Nafta Vacuum Oil znana jest na całym świecie”.

Na Schwartzenberg Platz młoda obnażona dama, której kontury obrysowane są smugami bielekiny neonowej, wkłada elastyczny biustonosz Palmersa. „Palmer — to radość i szczęście”. Smukły kieliszek wypełniony jest musującym, świetlistym napojem. „Likier Storh — gwarancja zdrowia”.

Podróże kształca, to nie ulega wątpliwości. Oto przyjechaliśmy do Wiednia i odnalazłem tutaj receptę na wszelkie życiowe niepowodzenia. Wystarczy kupić sobie elastyczny biustonosz Palmersa i popijać Storha, żeby raz na zawsze uchronić się przed chorobami i troskami. Aby jednak zapewnić sobie powodzenie u dam i miłe stosunki w pracy zawodowej, należy jeszcze czyścić zębów pastą „Fluorodont”, która nasz oddech czyni „kojącym” a nasze kły „polyskliwymi”.

Na Schwartzenberg Platz reklamy mają charakter wyłącznie świećki. Przeważa tutaj ton frywolny, neony skłaniają do marzeń najbardziej intymnych. Na wysokości pięciu lub siedmiu piętér drgają tyśiącem barw ciała kobiet, które wkładają nylony „Arizona”, zdejmują gassous „Elastic”, zapinają pończoszki „Emmy” i rozpinają bluzki „Charles”.

Nieco dalej, na Schubert Ring, reklamy stają się purytańskie. Anatomia kobiety nie interesuje wielkich przedsiębiorców przemysłu samochodowego i lotniczego. Tutaj wystarczą jedno słowo, jedno imię, aby człowiek poczuł swoją małość i skłonił głowę przed potęgami. Na nocnym niebie błyszczy krwawe litery: „Ford”, „Chevrolet”, „Buick”.

Schubert Ring jest świątynią najnowocześniejszej motoryzacji. Lakoniczne reklamy, surowe i wykluczające wszelki sprzeciw, przeplatane są od czasu do czasu poezją i Biblią. Olbrzymi złościsty samolot austriackich linii lotniczych „Cosmos” unosi się w przestrzeni międzyplanetarnej. „Cosmos zaprasza na podróż do gwiazd”. Jak z tego widać, austriacy kapitaliści nie wyzbyli się jeszcze fantazji. Panamerykański Air Line oferuje turystom przejażdżki bardziej konkretne: „Sydney — Calcutta — Tokio”. Nieopodal świetlista sylwetka Chrystusa z krzyżem na ramionach. Bóg wznosi dłoń ponad zieloną oponę. „Opony Semperit są wybrane przez Boga”. Tutaj wykraczamy już poza doczesność. Niebiosą pachną kauczukiem.

O świecie gasną neony. Ranek, czysty i słoneczny, odsłania panoramę olbrzymiego Wiednia. miasta starych pomników i młodej zieleni. Golebie budzą się hałaśliwie na dziedzińcach Burgu. Cesarzki Burg jest olbrzymi. Powiadają, że rozmiarami przewyższa najbardziej okazałe budowle Europy. Dwadzieścia minut trwa spacer od Bramy Michała do Bramy Marii Teresy. Idzie się pod sklepieniami kolumnadami, przechodzi się cztery dzie-

dzińce ozdobione pomnikami monarchów i bohaterów. Jest to najkrótsza droga wewnątrz kompleksu olbrzymich budynków. Gdyby zaś ciekawy turysta chciał obejśćokoło cały Burg — straci pół dnia na mozolnej wędrowce.

Stulecie dwudzieste nie uszanowało poetycznej czysty wewnętrznych dziedzińców Burgu. Tam gdzie jeszcze pięćdziesiąt lat temu pano wał niezmałony spokój, zakłócany od czasu do czasu stukotem kopyt końskich zaprzęgniętych do cesarskiego powozu — dziś płynie szumiąca rzeka samochodów. Klaksony pedzających autobusów głucho rozbrzmiewają pod sklepieniem Bramy Michała. Brama Michała, ozdobiona złotą kopułą, została wzniesiona przez cesarza Józefa II. Najświetniejsi malarze Italii pokryli jej wewnętrzne mury freskami przedstawiającymi dzieje starożytne.

Wieczorem można w tej bramie przeżyć rzeczy niezwykle. Oto sunie z chrzęstem długi wąż samochodów. W samochodach — wiedeński kapitał. Mężczyźni, którzy stawili pół życia nad księgą handlową i ich kobiety, kruche, blade w świetle latarni i reflektorów, bezmyślnie wpatrzzone przed siebie. Wiek XX, a raczej niki fragmenty tego wieku, ujęty jak w pantomimie w stalowe kleszcze mieszczącej cywilizacji. Reflektory samochodów przesuwają się wzdłuż murów starego pałacu. I nagle smuga światła wydobywa z ciemności zarzys fresków. jakieś sceny mitologiczne, jakieś sędziwe dzieje dawno umarłego świata. Martwe oczy rzymskiej matrony uwikłanej w krajobraz antyczny jak w sieć — spoglądają na panią Bossinger albo na panią Kühler siedzącą w luksusowym wnętrzu samochodu. Te panie w niczym nie przypominają rzymskiej matrony. Są inne, tak jak inny jest współczesny świat. A jednak w tym ułamku sekundy, kiedy zderzają się oczami — kobieta rzymska zrodzona z wizji artysty, i kobieta burżuazyjnej Europy zrodzona z kapitalistycznej rzeczywistości — stają się przez moment ludzko do siebie podobne. Ich oczy wyrażają to samo znużenie, tę samą obojętność wobec świata, tę samą rezygnację z wszelkich marzeń.

Spoglądam na twarze tych kobiet żyjących w odległych epokach. W słoneczny dzień można spotkać panią Bossinger na tarasie jednej z licznych kawiarni wiedeńskich. Rozmawia z panią Kühler lub z panią Bach. Snuje plany wyjazdu do Wenecji, do Aten, do Nowego Jorku.

Rzymska matrona na fresku Andree della Valle nie rozmawia z nikim, nie snuje żadnych planów. Od dwustu lat wpatruje się w głąb dziedzińca pałacowego. Jej sylwetka wyraża spokój. Ale ten spokój nie jest zrodzony z pewności, lecz z rezygnacji. Geniusz artysty oddał to co w życiu wielkich rzymskich dam było najbardziej istotne. Deila Valle namalował rzymski krajobraz zgodnie z tradycją swej szkoły. Wzgórze nasycone blaskiem słonecznym, fioletowe winnice na zboczach, z dala strzeliste łuki akweduktu a na horyzoncie stado kóz i nagie postacie pasterzy. W tym sielankowym antycznym świecie rozgrywa się scena z sielankowego antycznego życia. Rzymska pani w fałdzistej szacie spożywa melony. Obok rośli niewolnik z wachlarzem, nieco dalej niewolnice pochylone nad koszem z owocami, w głębi kilku niewolników z koszami owoców na barkach. Matrona spogląda ponad głowami tych ludzi. Jej zamyślenie dotyczy spraw jej świata, tak jak zamyślenie niewolnika z wachlarzem dotyczy spraw jego świata. Włoski artysta trafnie odczytał historię. Stworzył fresk, przez który przebiega pęknięcie, jakaś wyraźna i ostra linia podziału między matroną a jej niewolnikami. Są to dwie epoki dalekie, wrogie i obce, sprzęgnięte tylko na krótki czas martwym przedmiotem, wachlarzem z kolorowych płasch piór. Oczy niewolnika są jasne, rozumne, spoglądają gdzieś bardzo daleko przed siebie. Oczy pani są ciemne, pozbawione wyrazu, ich spojrzenie nie poszukuje oparcia w przestrzeni, jest puste, tak jak puste jest jej serce.

Doprawdy dziwić się wypada, czemu Andrea della Valle nie umarł w więziennym lochu. Za taki fresk powinien był zasłużyć w oczach swych współczesnych na najsurowszą karę. Andrea della Valle odcbił bowiem Bramę Michała malowidłem, które wyrażało marzenia jego klasy. Na murach feudalnego pałacu uwiecznił wizję nowego świata, w którego nadejście wierzył. Był artystą ludu włoskiego, nienawidził cesarza, nienawidził arystokratów, nienawidził poddaństwa. Kochał wolność. Ożywiony idea wolności, równości i braterstwa, malował swoje obrazy. Kroniki powiadają, że jego dzieło wywołało gniew całego dworu, lecz cesarz był dla artystów łaskawy a nado chciał uchodzić za człowieka postępowego — więc della Valle bez przykrości powrócił do Mediolanu. W kilka lat później na paryskiej ulicy wyszedł lud. Bastylia została zburzona, a głowy tyrana i arystokratów ściał ostrzy nóż gilotyny.

Rzymska matrona, po dziś dzień spogląda niewidzącymi oczyma w perspektywę ruchliwej, wiedeńskiej ulicy. Obok niej stoi niewolnik, ro-

sły, silny, młody Afrykańczyk z wachlarzem w dłoniach. Jego oczy pełne blasku, mimo mroku panującego pod sklepieniem bramy — patrzą w przestrzeń. W oczach tych odczytać można nadzieję i wyczekiwanie. Wrócone są w kierunku północno - zachodnim, tam gdzie się rozciąga zielony, pachnący Grintzing, dzielnica wiedeńskich proletariuszów. Trudno wprost o-przeć się paradoksalnej refleksji, że Andrea della Valle przeczuł dwa stulecia temu, gdzie zamieszka kiedyś przyszłość Wiednia.

Stoję przed freskiem urzeczony jego urokiem, gdy tymczasem pani Bossinger w „Gartenbau-Kaffee” wypija już trzeci kielich białego wermutu. Pani Bossinger jest małżonką milionera, wielkiego fabrykanta, który włada zakładami w Wiedniu, Zurychu i Schaffhausen. Pan Bossinger jest właścicielem hut, fabryk wyrobów metalowych, samochodów, radioodbiorników i zegarków. Pan Bossinger jest jednym z tych ludzi, którzy stworzyli współczesny obraz świata kapitalistycznego, a ponieważ nie jest artystą, obraz ten daleki jest od harmonijnego piękna fresków della Valle. Jednakże podobieństwo pani Bossinger do rzymskiej matrony wydaje się uderzające. Spójrzmy obu tych kobiet są martwe, żywe mogą być tylko oczy widzące przyszłość. Wszelako pani Bossinger jest produktem cywilizacji burżuazyjnej. Widzi ona tylko dzień dzisiejszy, bo jej cywilizacja nie ma dnia jutrzejszego. Pani Bossinger, tak jak dama rzymska na fresku, żywi pogardę dla pracy ludzkiej. Interesują ją igrzyska i uciechy stołu. Złudzenia i mity pani Bossinger są złudzeniami i mitami jej poprzedniczek sprzed dwóch tysięcy lat.

Dama rzymska, owa Klaudia, Popaea czy też Kornelia, mieszkająca w willi wzniesionej przez niewolników, pila wodę z akweduktu zbudowanego rękami niewolników, wdziawała szaty utkane przez niewolników, spożywała owoce wyhodowane przez niewolników, a po śmierci chowano ją w grobowcach zbudowanych przez niewolników. Owa Klaudia wielbiła teatr, literaturę i muzykę, a niewolników uważała za barbarzyńców. Stała dumnie na straży domowego ogniska, które zresztą było ogniskiem rozpusty i wyuzdania. Pani Bossinger jest do owej Klaudii niezmiernie podobna. Ona również uważa robotników za barbarzyńców i również wielbi piękno i luksus swego otoczenia, w przekonaniu, że ten wspaniały świat jest dziełem jej tysiącego, tegiego małżonka. Ale jest jeszcze jedno uczucie, które — jak most rozpięty między brzegami historii odległymi o dwadzieścia wieków — łączy te dwie kobiety. Jest to uczucie strachu i kompletna rezygnacja z marzeń. Antyczna Klaudia bała się swych niewolników a imię Spartakusa budziło w niej dreszcz. Pani Bossinger boi się ludzi z przedmieścia Grintzing a nazwiska przywódców międzynarodowego proletariatu odbierają jej złudną resztkę spokoju, jaką jeszcze posiada...

Wszelako nie byłoby rzeczą celową dalej snuć takie rozważania i dalej porównywać te dwie kobiety zrodzone w dwóch różnych światach. Antyczna dama z fresku jest historią, podczas gdy pani Bossinger jest rzeczywistością, i to właśnie winno stanowić zasadniczą różnicę ich oceny.

Pani Bossinger żyje w kruchym świecie fikcji, a każdy kolejny dzień fikcję tę pogłębia. Jej świat jest wypełniony smutkiem i zwątpieniem.

W eleganckich salonach mieszczańskich toczą się rozmowy o śmierci, o różnych rodzajach śmierci. Pani Bossinger idzie do teatru „Scala”, gdzie ogląda sztukę o pięknym umieraniu, a nazajutrz idzie do teatru „Minerve”, gdzie grana jest sztuka o brzydkiem, pozbawionym uroku umieraniu. Pani Bossinger czyta powieści wielkich pisarzy współczesnych, którzy rozważają wielkie sprawy śmierci pozbawionej sensu. Nikt natomiast nie pisze powieści o życiu, życiu pięknym lub brzydkim, życiu dobrym lub złym.

Ta obsesja śmierci w sztuce burżuazyjnej jest bardzo charakterystyczna. Życie nie potrafi już pasjonować ludzi, których dni pozbawione są głębszego sensu. Prabszka i babka pani Bossinger były bohaterkami mieszczańskich romanów. Dla nich tworzyli poeci wiersze o szczęśliwej miłości i dla nich rycerze giedły zdobywali majątki. Była to epoka heroiczna, burżuazja wstępowała na scenę dziejów i grała na niej swoją wielką rolę. Wiek młodzieńczy i wiek dojrzały burżuazji, które przypadały na stulecie XIX, były latami życia. Nikt wtedy nie myślał ustawicznie o problemach śmierci. Babka pani Bossinger, mieszcanka epoki racjonalizmu i nauk ścisłych, interesowała się śmiercią o tyle tylko, o ile normalny człowiek interesuje się biologią, fizyką i chemią. Uważała śmierć za proces przyrodniczy, za-chodzący w budowie materii. Przechodziła nad tym do porządku dziennego, zajmowała się życiem i tylko życiem, budowała wielki wspaniały świat swojej klasy. Jej wnuczka, dzisiejsza pani Bossinger, nie już nie buduje. Wszystko co

burżuazja mogła stworzyć, zostało już stworzone.

Myśli pani Bossinger krążyć więc wokół problemów niszczenia a nie tworzenia, Pani Bossinger z rezygnacją i rozpaczą spogląda na swój świat, który najpierw odkrył elektryczność i maszynę parową, a potem komory gazowe i bombę atomową. Pani Bossinger żyje złudzeniami trwałości tego świata, ale niemal codziennie rozczarowania stają się jej gorzkim udziałem. Pani Bossinger jest świadkiem wielkich wydarzeń, których nigdy się nie spodziewała. Okazuje się, że święta organizacja życia kapitalistycznego, przekazana przez tradycję babek i prababek, jest w rzeczywistości chaosem pozbawionym logiki i sensu. To co sto lat temu było sławione jako najlepszy ze wszystkich możliwych światów, dziś staje się całkowitą ruiną. Drapieżne prawa i obyczaje kapitalizmu łagodziły ongiś szerokie możliwości rozpowszechniania ich. To co u dziewiętnastowiecznych karzełków było wolnością handlu — u olbrzymów dwudziestowiecznych stało się wolnością zbrodni.

Równocześnie jednak sto lat temu w imię ideałów gieldowych na tle sklepiarskiej obyczajowości powstała wielka cywilizacja, zdo-bywca, bogata, okrutna i wspaniała. Burżuazja tworząc nowy świat, zyskiwała prawo istnienia. Dzisiaj już nic nie tworzy. Jej świat jest zupełnie statyczny, chory na śmierć, stary i pozbawiony wszelkich marzeń, fantazji, perspektyw. Jest to świat okrutny w swej martwości, jałowości i znużeniu. Dostrzec to można w każdym przejawie leniwego życia, jakie się toczy ulicami wielkich metropolii. Życie to jest jak wielkie, pełne wodorostów akwarium, brudno - zielone, pokryte rzęsą, pachnące ciępką przestającą wodą. W tym akwarium pływa pani Bossinger, małżonka milionera i córka milionera. Pani Bossinger nieczuła, znużona, pozbawiona wszelkiego wyrazu, śnięta ryba. Pani Bossinger, na której ciąży cała olbrzymia tradycja jej plemienia, która żyje fikcją minionego stulecia, karmi się przeszłością i nie rozumie przyszłości. Pani Bossinger czyli ostatnia kobieta mieszczańska...

Wszystkie jej myśli żeglują ku śmierci.

Luksusowe wnętrza, elektryczne lodówki, wspaniałe limuzyny, cały przepych kultury materialnej nagromadzonej przez pokolenia przodków — nie zachwyca pani Bossinger. Sto lat temu kobiety jej rodu cieszyły się każdym nowym powozem, każdą nową tkaniną i każdą nową wojenną zdobyczą małżonków. Kobiety te były żądne bogactw, żyły między sypialnią, gieldą i salonem, a jak pisze Boy — „wdzięk i urok ich poci zmagał o-brot pieniądza na rynku”. Były to panie przepelnione niespożytą siłą vitalną, interesowały się wszystkim co dotyczyło życia i z pogardą odnosili się do mistycznych rozważań. Były jak owe matki republiki rzymskiej, zapobiegliwe, ambitne i mężne. Ich siła polegała na tym, że miały marzenia i walczyły o pomnożenie swych bogactw.

Pani Bossinger nie ma marzeń i o nic nie walczy. Pani Bossinger posiada już wszystko, posiada tak wiele, że nie może się nawet zdo-być na wyszukane kaprysy. Nie jest nawet zbławizowana, ponieważ do zbławizowania konieczna jest odrobina wysiłku.

Pani Bossinger ma limuzyny ale nie ma pragnień, ma pieniądze ale nie ma tęsknot, ma mężczyzn swej klasy ale nie ma miłości. Pani Bossinger jest jak uschnięta gałąź pozbawiona liści i pąków, które są zadatkami przyszłego owocu. Własnie dlatego pani Bossinger myśli o sprawach umierania. Tylko proces śmierci, proces niszczenia może o-budzić zainteresowanie pani Bossinger. Rzymska kobieta z fresku della Valle też w śmierci szukała ukojenia i ucieczki przed obmierzłym życiem cesarskiego Rzymu. Kiedy krew gladiatora wsiąkała w piasek areny — Klaudia czy Popaea biła brawo, a na jej białą twarz występowały rumieńce.

Pani Bossinger ma również chorą wyobraźnię. A sztuka, która powstaje dla niej i na jej cześć — zaspokaja te głody duszy. Ekran kin oczekają krwawe sceny teatrow za-ludniają się zbrodniarzami, którzy mordują, aby się nieco rozzerwać, karty powieści szleeszczą od westchnień samotników znękanych bezcelowością własnego żywota. W tym świecie wielkiego oszustwa błądzi pani Bossinger, ostatnia kobieta mieszczańska. Jej oczy są suche i pozbawione światła. Jej umysł nie jest zdolny cokolwiek przemysleć i zrozumieć. Pani Bossinger pije przednie wino, ubiera się w kosztowne futra, odwiedza najdroższe uzdrowiska świata, ale przez cały czas trawi ją jedyne ludzkie uczucie — lek. Lęka się każdego słowa i każdego kroku, bo każdy jej krok może być ostatni. Czego boi się pani Bossinger? Pani Bossinger boi się, że może nadejść zaawierucha, i boi się, że zaawierucha nie nadejdzie. Boi się nowego, które może przyjść, i boi się, że wszystko zostanie po staremu.

Pani Bossinger jest o wiele nieszczęśliwsza od swego małżonka.

(Dokończenie na str. 7)

JERZY LAU W MAŁYM MIASTECZKU

W małym miasteczku prymule w doniczkach płaszczą sobie nosy jak dzieci w oknach. A dalej tuż obok pod kinem „Pokój” fanfan z plakatu przeszywa szpadą pół nieba na rynku. Księżyc z ratusza jak kot mruczy z góry na ogromnym zegarze, i strzałkami nocą jak wąsami rusza.

Pod kinem dziewczyny marzą w ogonku o miłości fanfanów z lśniących fotofosów, chichoczą do chłopców, którzy stoją sztywni w zaprosowanych spodniach. Wtem jedna wspomina że egzamin ma jutro więc pyta strókana: Pożyczysz Maryniu bryka do markizmu? Wtedy księżyc czarownic skoczył wprost z ratusza, a z nim poetyczność odbiegła wszelką. Tylko troska czarnooka pod kinem została z długim warkoczem i jej droga daleka od fotofosów życia od bryka od serca prawdziwego człowieka.

OKNA

Na Mariensztlacie okna są jasne, czyste jak oczy dziecka wiślane niebo, wiślane okna.

Ale niedawno stała w nich luna, w oknie córeczka odrabia lekcje. Wiślane niebo, wiślane okna.

Piśro niewprawne rączka jej wodzi strofuję warkoczek, który za nią chodzi. Wiślane niebo, wiślane okna.

Takich okien nie znajdziesz na świećce, jak oczy dziecka, jak miasto żywe. Wiślane niebo, wiślane okna.

Nad nimi chybką odrzutowiec czuwa jak oko w chmurach zapada nad Wisłą. Wiślane niebo, wiślane okna.

PEJZAŻ MORSKI

Bezludna zorza nad Lebą, rybak wyrzasa z sieci plusk księżycy z ławicy gwiazd

Cień płynie za łodzią krąży ryba dokoła szumią pletwami jak liście na zmierzchu.

ŻNIWA

Żar. Klepią kosy stoi powietrze gorąca jodla ze świerszczy.

Druciarz niemowa kuleje do wsi, pies za nim biegnie pasiasły jak zebra.

Chlebem pachnie rozgrzana ziemia, garnek na rżysku podparty cieniem.

EDWARD HOIDA W LESIE

A ja pojde ku porębje, ku porębje, głowa skocze w kipieli parnych ziół, myślą, czuciem w trawy się zagłębię, a ty, wietrze, ty mnie ujmij w pól.

Pieśń zieloną mi pod niebem zaszum, zakłóć tętno, rozpal je i spień, obudź sosny do złotego marszu, niech porzucą zasiedziały cień.

Niech się echo po lesie rozhuca, prac dukami ile sił, ile sił, i, odbite od grądu do buka, w migotliwy rozbrzyźnie się pyl.

Zadmiij, wietrze, pokoltuń łopuchy, duszne wonie skręć w stubarwny lej, wessij je do wnętrza zawieruchy i oczyszczaj mnie, przesywaj, wiej.

Hiej, odblaski, sadzonki, stokrocie, płasie gwizdy wśród dostojnych drzew, dziury w jeżynowym żywopłocie, wyście to są, czy też moja krew?

Plamo świetlna kurcz się i rozwijaj, trzepocz w liściach, jak płomienny gil, chwilo tęsna, nie mijał, nie mijał, ty nieważna, lecz jedyna z chwil.

Fragment z powieści Lilian Seymour - Tułasiewicz pt. „Dzielnica Wielkich Kufrów”. Książka ukaże się w bieżącym roku nakładem P. W. „Iskry”.

Co za kraj, co za kraj — myślał Notecki schodząc na trawnik, by nie dać się zagarnąć przez tłum niosący wieniec i jakieś transparenty. Na czele szło kilkunastu ludzi w mundurach. W jednym z nich, wysokim blondynie o sztywnej nodze, Stefan poznał Pawła, szwagra Melody Booth; poznałby go zresztą wszędzie po sposobie, w jaki chodził, i po tej kępie jasnym włosom nad wysoko sklepionym czołem. Wprawdzie widział go raz jeden w życiu, i to tylko przez chwilę, gdy rozmawiał z Eddiem Trampem na ulicy w Pawhusce, ale swoim wrażliwym okiem ryśmowika zapamiętał dobrze te sylwetki, jadący na wózku wojskowy, również inwalida, też był mu jakiś dziwnie znajomy. Ach, a teraz zbliża się mieszkający w pobliżu Wielkich Kufrów major Lynn, u którego zatrudniona była dziewczyna przychodząca bardzo często do Wronowskich, owa Luba, którą syn Wronowskich, Stanley, bardzo się interesował, ku wielkiej przykrości swej matki. A więc i on jest byłym kolegą albo może jakimś krewnym Allana Thorntona.

Od momentu przeczytania w gazecie o procesie, Stefan nie miał ani chwili spokoju. Wszędzie poszukiwania kompanów Trampa, podano ich dokładny rysopis we wszystkich gazetach. Jeden z nich był rysopisem Frantiszka, a drugi jego własnym. Proces Allana, głośny w całym stanie, wywołał wielkie oburzenie w sferach byłych kombatanów. Kiedy w trzecim dniu rozprawy oskarżony odebrał sobie życie, współwzięniowie, którzy widzieli, jak ciężko ten był oficer znosi przesłuchania i cały proces, natychmiast przemycili tę wiadomość podając, że Thornton, w porze kiedy oni odbywali przepisywany spacer, ukrył pięć ze strzepów bielizny więziennej i powiesił się na kaloryferze.

Sąd wydał wyrok uniewinniający, starano się zatuszować afere, natychmiast wydano zwłoki rodzinie i udzielono zezwolenia na pogrzeb. Prawdopodobnie przewidziano dziesięć demonstracji na mieście i na cmentarzu, bo oto z daleka dochodziły ryki syren straży pożarnej i przeciągle wycia policyjnych samochodów. Tłum rozsyłał się nagle, uchodząc czym prędzej w bok, transparenty pozikały, wiele z nich leżało na ziemi.

Fakt, że pochowano Allana na cmentarzu wojskowym, też miał swoją wymowę i w pewnym sensie wpłynął na samopoczucie Stefana, który w zmarłym towarzyszu wędrowni widział współczesnego błędnego rycerza i nieraz starał się dociec, dlaczego ten wspaniały człowiek odszedł od swego środowiska, od rodziny, i przyłączył się do bezimiennego tłumu wykolejenców wojennych.

Ta nędzna dziura Pawhuska, gdzie jemu udało się znaleźć rodaków, nie wszystkim przyniosła szczęście. Co też stało się z Frantiszkiem, który tam pozostał? Stefan bardzo chciałby go spotkać. Myślał o nim, jak o kimś z najbliższych. Czy łączyła ich wspólna dola tułaczy, którzy ludzi li się, że i dla nich nadejdzie pora powrotu do ojczyzny, czy też może jakieś podobieństwo przekonań? Jakże to były przekonania? Z Trampa zrobiono zdradcę i szpiega. Co zrobiono z Frantiszka i z niego samego? Komunistów? W tym dziwnym kraju, gdzie tak wiele mówi się o wolności i demokracji, zupełnie zapomniano, co te słowa naprawdę znaczą.

Samochód, w którym siedziała jakaś starsza pani w żalobie, przejechał obok Stefana wzniesając stęp kurzu. W kilku następnych siedzieli przeżawieni wojskowi. Takiego tłumu mundurów Stefan nie widział od zakończenia wojny. Zatrzymał podniesieniem ręki samochód, w którym zobaczył wolne miejsce, i wsiadł. Wszystkie wozy sunęły w jednym kierunku. Po drodze mijaly ich auta policyjne i patroli na motocyklach.

Samochody z konduktu zatrzymywały się w umówionych punktach, przy zbiegu Szesnastej Alei. Stefan wychylił się; z długiego sznura wozów przed nim wyskakowali wojskowi i cywile, kierując się do Grillu. Postanowił wysiąść. Tu zapewne miała się odbyć oficjalna stypa.

Przeciskał się przez tłum szukając wzrokiem oficera, w którym rozpoznał szwagra Melody Booth. Przypomniał sobie, jak to właśnie on, Stefan, powiadomił Melody o aresztowaniu Allana. Jej fotografie ukazywały się na pierwszej stronie „Dispatchu” od chwili rozpoczęcia się procesu Thorntona, w którym panna Booth była jednym z głównych świadków obrony. Ładna kobieta. I odważna. Jaka ona w pierwszym dniu rozprawy zrecenzowała cytatami z konstytucji. O mały figiel, a byłibyśmy ją zamknęli. Wyrażnie jąla rządowi do zrozumienia, że staremu Boothowi było bardzo na rękę podsunąć policji Allana i jego dwóch kompanów. „W jakim celu przywędrowała do Pawhuski ta podejrzana trójka? Po co Thornton sprowadził Czechę, specja od malarstwa, jeżeli nie interesował się dziełami sztuki na Rybim Kole? Czemuż nie zatrzymali się w jakiejś innej miejscinie, gdzie nie było J. B. Fisha i tak wartościowych obrazów?” — bronił się

stary Booth. — I dlaczego Czech uciekł, jeżeli był niewinny?” „Ta wersja godna jest Ku-Klux-Klanu!” — krzyknęła wtedy Melody Booth. Ton, jakim to powiedziała, dał dużo do myślenia. Nie wszyscy ludzie w tym kraju są tchórzami, o nie! tego nie można powiedzieć.

— Halo! majorze — krzyknął Stefan do wysokiego blondyna, zegnającego ruchem ręki samochód z oficerami przybyłymi na pogrzeb z innego stanu. Paweł odwrócił się, popatrzył chwilę na Stefana i trochę szepsony zawołał:

— Halo! Poznaję pana. Chodźmy do Grillu. O, tam — wskazał i energicznie pociągnął Stefana za sobą. — Ale niespodzianka!

W tym właśnie momencie auta policyjne, głośno wyjąc, przejechały ulicą.

W Grillu było ciasno, większość uczestników pogrzebu tu się właśnie ulokowała, aby zjeść coś w towarzystwie kolegów.

— Bętszyki z ziemniakami. I dwa koniaki — zamówił major.

— Dawno wyjechał pan z Pawhuski? — zagałnął Stefan.

— Z Pawhuski? — zdziwił się Paweł. — Przecież ja teraz stale mieszkam w Scranton, a na pogrzeb przyjechałem wczoraj wieczorem. Za dwie godziny mam pociąg. A pan? — spytał Noteckiego.

— Od kilku miesięcy mieszkam tu, ale zmuszony jestem korzystać z pomocy rodaków, gdyż nie mogę znaleźć odpowiedniej pracy.

— Pracy? — spytał niedowierzająco major.

— Tak. Jako cudzoziemiec, pomimo że byłem w waszym wojsku, nie mam zbyt wielkich szans. Gdybym miał jakiś fach w ręku, to co innego.

— A co pan robił dotychczas?

— Szukałem pracy.

— I nic poza tym?

— Dorywcze zajęcia.

— Co pan umie?

— Władam czterema językami, gram na fortepianie, nieźle rysuję, a poza tym byłem już kamieniarzem, sanitariuszem w szpitalu, pracowałem w fabryce szlucznich kwiatów oraz przy budowie...

— Czy zna się pan na dywanach?

— Na dywanach?

— Tak. Czy potrafiłby pan sprzedać dywan?

— Nie bardzo rozumiem.

— To zupełnie proste. Mogą pana polecić do działu dywanów w firmie Becky Smith. Kierownikiem tego działu jest mój dawny podwładny, sierżant Plush. Zajęcie pana polegałoby na pokazywaniu klientom dywanów. Trzeba samemu dywan przynieść, rozwinąć i... sprzedać. Wypisać bloczek do kasy chyba pan potrafi? Jest pan człowiekiem dobrze ułożonym i ładnie mówiącym, myślę, że to byłoby doskonałe zajęcie dla pana. Sam mam podobne... — Dobrze, proszę mnie tam polecić. Będę panu niezmiernie wdzięczny. Nie mam tu nikogo wpływowego, kto mógłby mi pomóc w znalezieniu stałej posady. Pierwszeństwo mają wszędzie Amerykanie.

— Byłoby co najmniej dziwne, gdyby było inaczej — zaśmiał się major.

— Nieraz bardzo żałuję, że jednak mimo wszystko nie wróciłem do kraju — dorzucił Stefan wyreczekując, patrząc na Amerykanina.

— Nie ma czego żałować. Każdy wartościowy człowiek może się u nas wybić. Jeżeli tego nie potrafi, to znaczy, że nie jest nie wart. Zupelnie prości ludzie, bez wykształcenia, dorobili się tu fortun. Niedolęgi odpadają, przegrywają wyścig. Trzeba lepiej, szybciej i więcej pracować niż inni. Jeżeli o pana chodzi, nie podoba mi się to, że tak często zmienia pan zajęcia. Można przecież zacząć od zwykłego robotnika, a następnie wykazać się zdolnościami. Pan na pewno nie myślał o tym?

— Myślałem, i owszem, i na pewno byłoby tak, gdybym miał do czynienia z uczciwymi ludźmi niż ci, których spotykałem. A wreszcie, ludzkiem się, że jako inteligent znajduję zajęcia odpowiadające moim uzdolnieniom.

— Hódję pan pretensje do całego świata? O, niedobrze, przyjacielu. Ach, jacy wy wszyscy jesteście zarozumiali!

— Kto?

— Wy, Europejczycy. A tymczasem u nas człowiek jest wart tyle, ile potrafi zarobić. Tym się mierzy zdolności i to jest słuszne.

— Żeby wykazać się zdolnościami, trzeba mieć szansę...

— Jesteśmy jedynym krajem na świecie, w którym każdy ma równą szansę.

— Teoretycznie tak, ale w praktyce? Smutne mam doświadczenie, proszę mi wierzyć.

— No, przekonamy się, co pan potrafi. Gubernatorstwa na pewno panu nie dadzą, choć prezentuje się pan doskonale... Ale u Becky Smith będzie pan miał tę szansę, do której pan wdycha. Sam prowadzę filię tej firmy w Scranton, tylko że tam jest ona większa niż tu. Udać się mi się zarobić skromne tysiąc dolarów miesięcznie i żyć jakoś — zaśmiał się.

Stefan również się uśmiechnął. Był uszczęśliwiony. Może odwróci się wreszcie ta zła karta. Jak to dobrze, że nie stchórzył i wybrał się na pogrzeb Trampa. Tylko czy ten Amerykanin nie zapomni o nim za pięć minut?

Major spojrzał na zegarek i energicznie zadzwonił na kelnerkę.

— Miło mi było pana spotkać, proszę wyraźnie napisać swoje nazwisko i dokładny adres, o tu — wskazał na czyste miejsce w notiesie.

Stefan drżącą ręką wypisał jedno i drugie, ale nagle ogarnął go smutek; poczuł się samotny jak rozbiitek na oceanie.

— Kiedy zawita pan znowu do Filadelfii? — spytał.

— Za miesiąc. Wtedy spotkamy się w firmie. No, życząc dobrego startu, niech pan się trzyma wobec Plusha, bo to dragon jakich mało, ale porządny chłop. Zgłosi się pan jutro rano, o ósmej, a może lepiej przed ósmą.

*

Sekretarka dyrektora otworzyła biurko, wyciągnęła z szuflady maszynę do pisania, rozciąła pocztę i dopiero wtedy, gdy rozległ się długi, głuchy dźwięk, weszła do gabinetu szefa. Wkrótce wróciła stamtąd i poprosiła Noteckiego.

Dyrektor był niskiego wzrostu, mógł mieć około sześćdziesiątki, miał szeroką, jowialną twarz i kształtną, siwą głowę.

— Pan z polecenia mego przyjaciela? Hm... Trzeba będzie coś dla pana zrobić.

— Będę niezmiernie wdzięczny...

— Niechże pan siada.

Przez parę minut, nie mówiąc słowa, szef firmy studiował twarz Stefana.

„Sucha. Wysiadłem na stacyjie wtłoczonej w dłoń kotliny i nie czekając, aż lokomotywa przełoczy na drugi koniec pociągu (tu następuje zmiana kierunku jazdy) — wszedłem w miasto. Mam je przed sobą jak owoc, w który najspieszniej chciałoby się wgryźć, aby poznać smak dotąd tylko przeczuwany. O dwa kroki od stacji jest to na razie cierpki smak wiosennego poranka, rozlanego gęstym łagodnym światłem po kolorowych wzgórzach, zółcącego stopy desek w pobiskim tartaku, jarzącego klomby narczyów w ogródkach przed domami. Droga sama prowadzi do rynku, wkleśłego jak spodeczek. Na prawo, na wzgórze — cynobrowa, zębata sylweta kościoła; na lewo, nad Skawą — park pałacowy i pałac. Wzdłuż ulic domki schludne i kolorowe — jak klocki, rozrzucone pańską ręką dla zabawy. Od strony torów kolejowych nagle odslania się widok na oficynę, ruderę utapianę w błocie podwórek. — Uparte wrażenie, że się już to wszystko skądś zna, że ta wędrownika to jakby odwracanie kart albumu z fotografiami sprzed wielu lat...”

„Więc już byłem w Radzie Narodowej i jej archiwach, już wiem: chodzę po grodzie bardzo starożytnym, który jeszcze w XV wieku dostał się Piotrowi Komorowskiemu jako królewskocyzna — przechodził potem z rąk do rąk, raz był własnością Wielopolskich, raz Branickich, w końcu Tarnowskich — ale zawsze już żył w cieniu murów magnackiego zamku: nos dla tabakierzy... Trójkąt między zamkiem, kościołem a rynkiem dopełnił się w pamiętnym roku 1884 czwartym bokiem: stacją kolejową, na którą po raz pierwszy zajeżdżała fuczająca lokomotywa. Nad tym czworobokiem królowały z czterech stron świata szczyty okolicznych gór: Jasienia, Magórki, Kamiennej i Mioduszynej. Wewnątrz czworoboku trochę handlowano, trochę pracowano w tartaku i kolejnictwie, trochę ciągnięto zyski z letników, ogródków i wysług dla dworu. Poza tym, nie mogąc się wyżyć w czym innym, biadłono, labiedzono i stękanio utartym zwyczajem malutkich miasteczek i malutkich mieszczan, o których nigdy nie wiadomo: przestali już być proletariatem i są mieszczańami, czy też na odwrót. Tak Sucha, „nieleiche” miasteczko 6-tysięczne, dożeglowała do naszych czasów...”

Byłem w Komitecie Partii, więc wiem i to także: pałac w czasie wojny hitlerowcy doszczętnie ogolili — po jakim takim odrestaurowaniu kilku sal mogło się tu zmieścić gimnazjum. Również nie już nie przeskadzało (dawniej przeskadzało hrabia) poszerzyć tereny tartaczne o grunty hrabiowskie; co też uczyniono i tartak wzniesie rozbudowany. Ten tartak wraz z węglem kolejowym i warsztatami stanowią dla miasta najsilniejsze zaplecze ekonomiczne i — polityczne. Z tartaku i z kolei żyje wielu ludzi, wykształca się z nich w sposób pra-

— Słyszałem — podjął po chwili, że pan często zmienia posady. Dlaczego?

— Dotychczas miałem pracę dorywczą, przeważnie fizyczną, za ciężką dla mnie. Chciałbym popracować w lepszych warunkach... w jakiejś innej atmosferze. Jestem, niestety, inteligentem...

— Jeżeli jest pan chory, nie będę mógł pana zatrudnić.

— Jestem tylko wyczerpany.

— Co pan wie o dywanach?

— Potrafię odróżnić bucharę od meksykańskiego kilimu, to fakt. W domu mieliśmy kilka przyzwoitych mebli i dywanów, gdy zaś zwiedzałem po wojnie szkockie zamki, natrafiłem się do syła na różne dywany, które mnie zresztą zawsze bardzo interesowały.

— Hm...

— Przepadam za dywanami o głębokiej, soczystej barwie, zwłaszcza takimi w kolorze prawdziwego claretu jak ten tu, w pańskim gabinecie.

— Claret to dobra rzecz. Widzę, że odróżnia pan kolory. O, to już bardzo wiele. Czy mógłby się pan zająć reklamą dywanów?

— Sądę, że z czasem tak. Rysuję dobrze, gdyby pan był ciekaw, oto moja leczka z rysunkami.

— Pan to sam rysował? — dyrektor był wyraźnie zdziwiony.

— Oczywiście.

— Dlaczego więc nie szuka pan pracy w tym zawodzie?

— Dywany więcej mnie interesują — igał Stefan czując, że jego sprawa nie jest na złej drodze.

— No, zobaczmy. Zacznie pan od pomocnika u Plusha. Będzie pan przynosił i rozwijał dywany, pilnie słuchając tego, co mówi o nich Plush. To świetny fachowiec i naj-

lepszy nasz sprzedawca; od niego może się pan wiele nauczyć. Sekretarka da panu formularze, wypełni je pan i wróci z nimi jutro rano. Proszę zaccząć chwilę w poczekalni, zaraz porozumiem się z Plusem i poproszę, żeby sobie pana obejrzał.

Plush był rudowłosym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat. W klapie marynarki nosił odznaczenie wojskowe.

— Jaki stopień miał pan w wojsku? — padło pierwsze pytanie Plusha.

— Porucznika.

— Ziemniak?

— Nie rozumiem.

— Kartofel?

— Lotnik — powiedział Stefan z godnością.

Plush, niezadowolony z tej odpowiedzi, masował sobie brodę prawą ręką. Brwi miał nasróżone, jakby musiał rozwiązać bardzo skomplikowany problem życiowy.

— Próbowal pan chodzić na czercech?

— Nie.

— To pan spróbuje. U mnie trzeba się zgrabnie poruszać.

*

Na razie nie było jeszcze klientów i Notecki mógł spokojnie napawać się wytwornością jasnej sali wypełnionej po brzegi stertami dywanów, zrolowanych jak naleśniki, jeden na drugim. Gdzieś tam, w kolorowych puszystych plamach ustawione były mahoniowe szafki, fotele, stoliki. Uplynęło kilkanaście minut: drzwi od windy otwarły się i do sali wkroczyło parę osób.

— Baczność! — ryknął Plush i momentalnie za jego plecami stanęli dwaj mężczyźni: niski, szpakowaty brunet i szczupły, średniego

wzrostu blondyn. Obaj w granatowych fartuchach.

Niebawem nadpłynęła otyła jejmość w towarzystwie młodej pary. Plush czekał wraz z asystą. Kiedy dama podeszła w jego stronę, Plush niziutko schylił głowę, błysnął rzędem porcelanowych zębów i spytał:

— Czym mogę służyć?

— Chcielibyśmy kupić dywan do bawialni.

— Proszę spocząć — wskazał fotele. — Jaka mniej więcej cena odpowiada państwu?

— Nie możemy przekroczyć trzystu dolarów.

— Rząd czwarty, numer 6, 8, 9 — rozkazał Plush zwracając się do swoich pomocników, którzy zżawo odeszli w głąb sali. Po paru minutach wrócili dźwigając duży dywan. Rzucili go na podłogę i zgłęci, na czworakach, rozwiali. Gdy znowu stanęli na baczność, Plush przystąpił do pracy.

— Jakie meble mają państwo w bawialni?

— W stylu królowej Anny.

— Kolor?

— Ciemnowiśniowy.

— Zwiąć! — rozkazał pomocnikom, — Przynieść numer... — tu Plush wyjął notes i przerzucał kartki: — numer szesnaste — zawyrokował.

Trójka kupujących obrzuciła się wzajemnie wymownym spojrzeniem. Milczała. Plush spacerował tam i z powrotem, czekając, aż pomocnicy przyniosą dywan.

Przynieśli, rzucili, rozwinęli, wygladzi. Był to bardzo jasny, puszysty, różowo - niebieski dywan.

— Parawan, stolik i stolek albo fotel w stylu Queen Ann szybko — rozkazał pomocnikom, a zwracając się do klientów oznajmił:

ĆWIERCIKOWIE



Rys. W. Majchrzak

widlowy klasa robotnicza. Reszta — to „trudny teren”. Reszta — więc splątany aparat handlu i administracji wewnątrz miasta, i chłopskie, nawile groźnymi chmurami obowiązkowych dostaw i kontraktacji, sprawy „przysiółków”: Bładzonki, Podkieszka, Zasypnicy...

W mieście nie buduje się niczego (poza jedynym blokiem ZOR-u, już na ukończeniu) i nie planuje się budownictwa przemysłowego w najbliższych latach.

Tak więc mam już za sobą prace „odkrywkowe”, pierwszą receptę na „duszę” miasteczka. Gdyby przestać tylko na tej sumie faktów niewątpliwych... Same ramy, to jeszcze za mało dla portretu miasta. Potrzebna mi „dusza” mieszkańca...

*

„Znalazłem ową „duszę” szybciej, niż mogłem się był spodziewać. Ulokowałem się właśnie na nocleg w parterowym, długim jak stajnia domku, którego tylne okna wychodziły wprost na brunatną ścianę równo wpiętego zbocza; brzołka, kurczowo trzymająca się malutkiej skarp, połową haczykowatych jak palce skąpa korzeni zawisała w wysokości okna, nieomal przezeń wchodziła. Co robić z wieczorem? Artos zaprasza na zabawną ponocskiecz w... Sali Ryceńskiej zanku. Dziękuję. Boję się duchów rycerzy, szczególnie jeśli podrażni je Artos... Zgodziłem się natomiast z ochotą zagrać załuszczeniym kartami partyjkę „oka” z ponurym jak sama

śmierć gospodarzem. Łupnąwszy w „bank” już po pierwszych dwóch kartach — zaanonsował on grobowym głosem:

— No, to teraz m u s o w o urwimie panu głowę.

Wzdrygnąłem się. Głowę jednak uratowałem — w sumie wygrałem ja. Wystarczyło tego na dobre piwo, które przyniosła nam gospodyni. Staremu twarz wtedy trochę odtałała: przegrana przeżywał mocno. O, proszę, zdobywa się nawet na coś w rodzaju uśmiechu: oszczędny grymas kąciaków warg w dużej, czarniawej twarzy. Oszczędny, powiadam, bo i na usta nałożony wiader został stempel skąpstwa, które się tu czuje na każdym kroku — mimo że mieszkanie wydaje się zasobne, z mieszczańskimi pretensjami do firanek na oknie, umybr na lampie i dywanika przed łóżkiem, wystającego wazutkiem tylko paskiem, aby go nie zdepnąć...

Przegrana zostanie mi niewątpliwie zaliczona do rachunku za nocleg i kolację. Nie to jest jednak problemem: problemem jest sam Cwiercik, gospodarz, ponury chciwiec w polatanie fufajce, który źródła namienności do „oczka” przyswoił sobie przed wojną, w okresach bezrobocia. Ten fakt już znam, jest on niewątpliwy; dlatego chwytam go oburącz, ciągnę jak nitkę z kłębka...

Z tym bezrobociem — stary się rozgadał, skwapliwie sięgając po

moje papierosy — różnie bywało. Będąc w zasadzie tracem, robotnikiem tartaczny, Cwiercik wykorzystywał również i inne wrodzone w swoim środowisku predyspozycje: umiał bowiem w sposób naturalny, bez żadnej magii przekształcać się bądź to w robotnika, bądź w chłopca, bądź w mieszczanina, w zależności od warunków i koniunktury. Jeśli ogólna koniunktura sprzyjała handlowi — Cwiercik, dostawszy wypowiedzenie, lokował cały zaoszczędzony grosz w stragan na rynku, gdzie z niewielkim zarobkiem sprzedawał w dniu targowe harnadzie, koziki, igły i inny drobny galanterijny. Jeśli — jak w czasie kryzysu w latach 30-tych — handel nie miał żadnych widoków, Cwiercik na niecałej morderze piaszczystego gruntu, jaka mu przypadła z działów rodzinnych, z zapalem i zmieniam szczęściem uprawiał nawet pomidory i kalafiory, a nadto wynajmował się okolicznym chłopom choćby za łyżkę stawy. Mimo tak zapobiegliwego życia Cwiercikowi nie udało się jednak zrealizować jednego swojego marzenia: a marzył o postawieniu własnego domu, choćby malutkiego, ale możliwie jak najbliżej rynku i kościoła. Trzeba przyznać, że przesładował go pod tym względem pech.

W 1938 roku miał już Cwiercik uciulany — kosztem odbierania sobie od ust — pewien zapas gotówki (licząc to także sumę uzyskaną ze sprzedaży owej lichej morgi), jednakże żona, powlitszy mu jedy-

DYWANÓW

— Chcę państwu zademonstrować, jak ten dywan będzie wyglądał przy meblach. Jest to jeden z najpiękniejszych, jakimi dysponuje mój dział. Cena — tu zajął do katalogu — trzysta osiemnaście dolarów z dostawą do domu. Przy zapłacie gotówką dajemy dwunastoprocentowy rabat.

Klienci oglądali dywan, chodzili po nim, dotykali, odwracali na lewą stronę. Stara dama kiwała głową z uznaniem, ale towarzyszący jej młody mężczyzna orzekł:

— Dużo pieniędzy. W Europie kupiłby to za grosze. Gdy byłem w Belgii...

— Był pan w Belgii? Zaraz sobie pomyślałem, że wydaje mi się pan jakiś znajomy. Bo ja też byłem w Belgii. Teraz wiem: czy nie był pan przypadkiem z pułkownikiem Drury? On mieszkał w Brukseli przy Avenue Magdalene.

— Byłem adiutantem generała Lace'a — odparł młody człowiek. Wyjął złotą papierosnicę z herbem i częstując Plusha dodał: — Woj-skowi wszędzie się poznają. Nie tak dawno wszedłem do sklepu z antykami i niech pan zgadnie, kogo tam spotkałem?

— Kolegę?

— Mego dowódcę. Świetnie zarabia, trzy razy do roku jeździ do starej Europy i przywozi pamiątki rodowe różnych książąt i markizów, francuskich i włoskich. Kupiliśmy u niego niedawno brokatowe serwety obszyte piękną, szczerolotą koronką. Gdybyśmy nie byli kąpani w gorącej wodzie i nie śpieszyli się jak wariat do domu i do narzeczonej, mogłem i ja zarobić ładny grosz.

— Nic straconego. Gdy pojedziemy na następną wojnę, będziemy rozsądniejsi. Dała nam ta wojna lekcję, prawda?

— Osobiście nie chciałbym powtarzać meji edukacji. Czytał pan o sprawie Allana Thorntona? Znałem go dobrze. Nie każdy miał szczęście wrócić do domu w tak dobrej formie jak pan i ja, co?

— To prawda, ale tam, na wojnie, było się kimś, sprawowało się władzę. Dowodziło się całą kompanią, robiło się interesy. A tu pracuje się od rana do nocy. Wie pan, ten niski, szpakowaty facet to autentyczny włoski księży, a blondyn to polski hrabia. Nie chcą chłopaki wracać do starego kraju, czekają na nową wojnę, i być może niedługo się doczekają. Ruiny rodowych zamków nie wabią ich jakoś, nie są widać tak romantyczne, jak się u nas niektórym ludziom wydaje...

— Jak się nazywa ten książy? — milcząca dotychczas młoda kobieta okazała nagle zainteresowanie pomocnikami Plusha.

— Jak żyje, nie widziałam jeszcze autentycznego księcia! A, to interesujące — zawołała stara dama. Twarz jej zaczerwieniła się z emocji.

— Ciszej! — syknął narzeczony.

— Książy nazywa się Ferdinando Marco Maria Kosma Salwator Pergani.

— Och, biedny człowiek! Jakże on to może pamiętać? Nigdy bym nie powiedziała, że tak wygląda książy. A jak zdejmie ten obrzydliwy fartuch, to co ma pod spodem, proszę pana?

— Marynarkę wytartą na łokciach, madame — skłonił się szarmancko Plush.

— To okropne, okropne.

— Ma w Europie rodzinę, której musi pomagać. Wysyła co miesiąc połowę swej pensji w różnych nylonach i ceratach.

— Biedactwo, jakże mi go żal.

— Mam — młoda kobieta zwróciła się do starszej — mnie się ten dywan bardzo podoba.

— Zobaczymy, kochanie...

Pomocnicy Plusha wrócili z palisandrowym parawanem, stolikiem i fotelem. W mig zaimprowizowali wytworny salonik, a raczej przytulny kącik w saloniku.

— No?... — spytał Plush mrużąc oczy.

— A czy nie mógłby nam pan pokazać coś równie ładnego, ale tańszego?

— Oczywiście, bardzo proszę — syknął Plush siląc się na uprzejmość.

Notecki, słuchając tego wszystkiego z boku, wyczuł w głosie Plusha pogardę. Pomocnicy odeszli po nowy numer.

— Chciałabym się im jeszcze trochę lepiej przyjrzeć, proszę pana. Czy moglibyśmy dać im po dolarze? — spytała młoda kobieta zwracając się do Plusha, z którego nagle opadła cała wytworność.

— A, bardzo proszę. Ucieszą się. Nowy dywan, choć o trzydziści dolarów tańszy, był nawet ładniejszy od poprzedniego. Klienci znowu deptali, podwijali, gładzili.

— Czy to bardzo ciężki dywan, proszę jego wysokości? — zwróciła się stara dama do włoskiego księcia.

— Ma około osmiuset tysięcy węzłów; jeden człowiek musi pracować pół roku nad metrem kwadratowym. Pomimo to dywan jest lekki, ale ma swój ciężar gatunkowy — objaśnił książy doskonałą angielszczyzną.

— A czy podoba się panu Ameryka?

— Ameryka? Naturalnie, wspinały kraj, żyją w nim najpiękniejsze kobiety świata.

— Ach! — dama usiadła spoglądając ponuro na dywan. Sprawa kupna zupełnie przestała ją interesować. Chętnie zaprosiłaby księcia do swego domu na czwartkowe bridża. Książęta chyba też w coś grają? Chętnie wydałaby córkę za księcia, oczywiście, gdyby sama miała więcej pieniędzy niż ma...

Gdy córka z narzeczonym odeszła na bok, dama szybko skreśliła na dolarowym banknocie swój adres i ostantycznie wręczyła go księciu, który, o dziwo, przyjął ten dar bez zdziwienia. Plush i polski hrabia odwrócili głowy dusząc się ze śmiechu.

*

W tym pierwszym dniu próbnego miesiąca Notecki opuścił dział dywanów z mieszanymi uczuciami: pokory i nienawiści. Czuł się, jakby sam był puszystym dywanem, po którym każdy ma prawo chodzić w zabłoconych butach. Ostatecznie człowiek był tu wart tylko tyle, ile potrafił zarobić. O tym trzeba pamiętać. A dumą nikt się jeszcze nie pożywił. Pomimo to Stefan czuł, że wspaniała posada, o której marzył od dwóch lat, będzie czymś ponad jego siły. Nigdy nie zdoła się przyzwyczaić do tonu Plusha. Dobra, stała posada czy też własny sklep z neonowym napisem: *Stephan Notecki et Cie*, to wszystko, czego pragnął, o czym marzył w ciągu wielu długich miesięcy poniewierki, oddalało się jakoś, rozpyliwało. Pozostawało tylko moralne i materialne oparcie u rodziny Wronowskich... Okazują mi tyle szczerzej przyjaźni Zwłaszcza Dana...

No cóż. Znowu trzeba będzie taszczyć w porcie worki w towarzystwie innych podobnych do siebie wykołajców. Stefan wstrząsnął się i roześmiał niewesoło.

Lilian Szymour-Tulasiewicz

TADEUSZ STANISZ

W Husowie pamiętają Jana Raka

Z Łańcuta do Husowa jest 18 kilometrów, licząc odległość od stacji kolejowej. Dwie trzecie tej drogi można przejechać autem, ostatnie pięć do sześciu kilometrów — furmanką, a jeżeli komuś się śpieszy — najlepiej się przejść. Nie decyduje o tym teren, zwolna lecz stale wznoszący się ku górze, ale po prostu fatalny stan drogi. Jaka ona musi być w czasie deszczów! Przejeżdżamy przez Albigową, na boku zostawiamy Wysoką, siedzibę Technikum Rachunkowości Rolnej. Z daleka widać kilkutyśieczną Markową, wieś z tradycjami. Próbowano tam jeszcze przed rokiem 1939 założyć spółdzielnię zdrowia.

Na szczycie — nie góry, ale łagodnego wzniesienia — rozstajne drogi: na lewo do Sieteszy, na prawo do Handzlówki. Tu znowu spędził życie Franciszek Magryś, znany pamiętnikarz chłopski (1846—1934).

Przed nami Husów, duża wieś leżąca po obu stronach wawozu, którego środkiem płynie niewielki strumyczek.

Szkola — nowa, ale budynków dachówką krytych mniej niż w Albigowej. Wierzę starych strzech. Strzechą też kryta jest sto kilkadziesiąt lat zapewne licząca chata, w której ongiś mieszkał Jan Rak, poeta chłopski, rzeźbiarz-samouk, wielki miłośnik książki (1820—1909).

„Książki to są najlepsi twoi przyjaciele, Nie wśmiejcą, nie zdradzą, a nauczą wiele”.

Słowa te, znane bibliotekarzom i miłośnikom książki, można czasem spotkać w świetlicach i bibliotekach jako hasło na ścianie.

Przypomina mi się długie i ciężkie życie Raka, w młodości chłopca pańszczyźnianego, biedującego zresztą całe życie. Z samego gruntu w okresie popańszczyźnianym wyżyć nie mógł, zarabiał jako robotnik leśny — siekierą. Do szkoły właściwie nie chodził.

„Po śniadaniu domowa nauka czytania w zwyczaj — Szkółek po wsiach nie było wtenczas w całym kraju”.

Tak pisał Rak o swych „szkolnych czasach”. A jednak doszedł do poważnej biegłości we władaniu piórem. Do późnej starości pisywał wiersze. Zdziwiał w nich nieraz klasowe wycucie człowieka, który nie uległ głoszonemu wówczas hasłom „sielanki” życia chłopskiego, nie dał się zwieść nastrojom solidaryzmu. Był np. dość krytyczny w stosunku do pisemek ludowych, które czytywał:

„Cóż nam z tego, że w „Niedzieli” będziem dzieje Polski mieli. Niech „Niedziela” zna te troski, które gniją nasze wioski”.

— skarżył się na tygodnik „Niedziela”.

A w innym miejscu czytamy:

„Jeżeli w „Prawdzie” prawdy nie dojrzymy, To cię cna „Prawdo” z łałem porzucimy”.

Takie i inne myśli ciśnie mi się do głowy, gdy się zbliżamy do dawnej chaty Jana Raka. Mam z sobą kilka egzemplarzy wyboru jego wierszy, wydane w roku 1953 przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w nakładzie... 2163 egzemplarzy. Bezpośrednio po wydaniu trudno je było dostać w rzeszowskich księgarniach, nawet w Łańcutcie były tylko 2 egzemplarze. Ale błędy dystrybucji naprawiono: Dom Książki w Rzeszowie uzyskał możliwość sprowadzenia wierszy Raka z innych województw, mniej zapewne zainteresowanych chłopskim poetą z Husowa.

W ojowskiej chacie (każdy łatwo wskaże drogę) mieszka Zuzanna Ciupińska, córka poety, osiemdziesięcioletnia staruszka. Domek i odrobinę pola przepisała na swą wychowanicę; mezza już dawno pochowała, dzieci nie ma, więc pieści i hołubi, jak własne wnuczki, dzieci swej wychowaniczki, Zu-

zanny Ciupińskiej nie spotkał los Reymontowskiej Agaty z „Chłopów”. Nie musi chodzić po prośbie, chociaż żyje w bardzo skromnych warunkach. Ułatwia jej egzystencję otrzymany dwukrotnie zasiłek z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łańcutcie, uzyskany staraniem Powiatowej Biblioteki. Trzeba ten zasiłek utrzymać na stałe. Staruszkę zasilajemy w domu. Jest ruchliwa i pełna życia, tylko słuch już słaby.

— Mam tu tę książeczkę com niedawno dostała, ale jej każdemu nie pożyczam. Tylko nauczyciele pożyczym, jak mnie o to prosiła, ale mi już oddała. I w papier ja dobrze owinęłam — opowiada starowina z przejęciem, i zaczyna mówić a raczej śpiewać ojowski wiersz o zapustach w roku 1865. Wiersz ten napisał Rak pod wpływem kleski powstania styczniowego; biada nad tym, że ludzie w zapustach bawią się, a to przecież załoba narodowa.

Ciupińska umie na pamięć inny wiersz i znowu nuci jego słowa. Kto ją tego nauczył? Pewno jeszcze ojciec.

Nadchodzi starsza już wiekiem sąsiadka. Zapytana, czy pamięta Raka, chętnie zaczyna opowiadać.

— Pamiętam go dobrze, choć byłam jeszcze małą dziewczynką. Był już wtedy bardzo stary, włosy nosił długie; chodził w białej płótniance. Ludzie go szanowali w całej wsi. Przecież on umiał czytać i pisać i innych tego uczył. I pisał ludziom, co było potrzeba. —

Zostawiamy w domu tomiłk wierszy, żeby babcia Ciupińska miała jeszcze jeden egzemplarz dla swoich wnuczków. Żegna nas wdzięcznym i przyjaznym uśmiechem.

Za parę godzin jesteśmy na zebraniu w Domu Gromadzkim, jeszcze niezupełnie wykończonym. Przyszło dużo ludzi na spotkanie z Tropaczynską - Ogarkową, autorką „Żołnierzy Kościuszką”. Pisarka mówi o swojej książce, o chłopskich żołnierzach, o Kościuszcze, o swych planach pisarskich. Dyskusja jest raczej ogólnikowa, ogranicza się do trzech osób. Przedstawiciel młodzieży mówi o rozwoju czytelnictwa, o trudnościach i brakach w pracy kulturalno-oświatowej i o fatalnej drodze, która uniemożliwia np. przyjazd kina objazdowego. Sprawa elektryfikacji też nie jest jeszcze załatwiona. Jakaś starsza kobieta upomina się:

— A jak będziecie pisać tę nową książkę, nie zapomnijcie o trudach rodzicielskich, o staraniach matek, które nieraz się namęczą przy chowaniu dzieci.

Dopiero po rozejściu się licznego audytoria kilkunastu pozostałym osobom rozwiązują się języki. Jeden z chłopów opowiada z dumą, że ma jeszcze młynek rzeźbiony przez Raka. Uczeń szkoły podstawowej ma do pisarki prośbę: chodź mu o tomik wierszy, choć o Raku nie było mowy na zebraniu. Przydało się tych kilka egzemplarzy, które przywozłem. Rozchodzą się szybko wśród starszych i młodszych.

Zapada wieczór, trochę chłodny w tym roku, majowy wieczór. Sady kwitną dokoła. Niebo bez chmurki. Cisza. Myślę o zapelnionej szczerze sali gromadzkiej w czasie spotkania z Tropaczynską - Ogarkową; o kłopotach wsi z komunikacją i elektrycznością, i o tym, że Husów jest jednak dość daleko od Łańcuta. Naprawa szosy i włączenie do planu elektryfikacji na pewno należą do najpilniejszych tu zadań. Nie można powiedzieć, by się Husowianie o te sprawy nie starali.

A potem znowu myśl zwraca się ku przeszłości. Ilu starszych ludzi pamięta w Husowie chłopskiego poetę? Już chyba niewielu. Bądź co bądź — 46 lat minęło od jego śmierci. Ale wiedzą o nim także najmłodsi i czytają go, i to jest chyba bardzo ważne.

Może puścizna chłopskiego poety, który poziomem swym wyrósł ponad swój czas, ułatwi Husowianom przezwyciężenie niektórych przynajmniej trudności?

Tadeusz Stanis

JERZY LOVELL

nego syna, ciężko się rozchorowała i niemal pół roku przeleżała w krakowskim szpitalu, dokąd ją siłą zawieziono. Pieniądze, oczywiście, diabli wzięli — a raczej nie diabli, tylko lekarze.

Pod koniec okupacji Cwierzick, drząc ze strachu, wziął się do handlu mięsem i szybko zaczął rósć w fortunę. Zagalopował się jednakże w interesach z Niemcami i kiedy jednemu z nich powierzył całą nieomal gotowiznę na zakup papierosów i skóry — zamiast towaru dostał po gębę i obietnicę rozstrzelania przy pierwszej okazji. Po wyzwoleniu Cwierzick oczywiście natychmiast zgłosił się do pracy w tartaku, wkrótce jednak wyrzucił „na szaber”. Tylko swojemu pechowui zawiadziła, że akurat w tym czasie ogłoszono zakaz wywozu z Ziemi Odzyskanych, i cały „obłówek” Cwierzicka przepadł. Cwierzick przez jakiś czas pracował spokojnie, aż dopiero około 48-go roku, kiedy wzmożły się trudności na rynku mięsnym, przypomniał sobie o swym okupacyjnym fachu i znow zaczął wozić do Krakowa polce słoniny i wianki kiebas. W owym czasie Cwierzick nie myślał już o własnym domu: po co mu to, skoro otrzymał zupełnie znośne mieszkanie pużydowskie w tym domku długim jak stajnia, syn zaś na pewno nie będzie chciał siedzieć w Sucheju, tylko pojedzie w szeroki świat. Mimo to Cwierzick nie byłby Cwierzickiem, gdyby zrezygnował z szans zdobycia „kapitału” — chociażby po to, żeby go po sobie i a d a ć i móc nim obracać. Cwierzick uznał, że szans tych koniec końców nigdy w takiej ilości nie widział przed sobą, jak właśnie w Polsce Ludowej. „Kryty” pracą w tartaku, nieźle zatem obracał z kiebasą tam i z powrotem. Przyłapała go w końcu milicja. Na szczęście milicjant był „swój chłop”, dał się ułobaczyć, ale posła na to znówuż spora część gotowizny Cwierzicka. Ostatecznym ciosem dla niego była zmiana waluty w 50-tym roku. Cwierzick z rozpaczki przepił i przegrał w „oko” (bo również do „oka”, jak to i dziś udowodnić, nie miał szczęścia) żalosne szczałki swojego kapitału. Skłął wówczas Polskę Ludową, to fakt, ale musiał się zgodzić na to, że jego chciwości został nałożony kantar: na ciemne drożki nie pójdziesz, Cwierziku — stop!

Od tego momentu dzieje Cwierzicka zaczęły się jeszcze bardziej komplikować. W opowieści — stary po prostu jednym krokiem znalazł się w dniu dzisiejszym, pałata miejsca w swojej biografii załatawszy kilkoma frazesami. Dopiero na drugi dzień pozbywałem od sąsiadów wiadomości, których jednakże nie dalesem w stu procentach pewny; dla zachowania chronologii umieszczę je zatem już teraz, ale poniekąd w nawiasie — jako nie dość sprawdzone:

Otóż Cwierzick wziął się solidnie do pracy; to wszyscy przyznają. Na jakiejś masówce wystąpił na-

wet z przemówieniem, tyleż lakonicznym, co rozsądnym: „bezrobocia ni ma, jak Boga kocham. No ni ma, cholera!” — powiedział w burzy oklasków. Zaczęło zatem patrzeć na Cwierzicką przychylniej, szykowała mu się już nawet odznaka Przodownika Pracy, kiedy nagle wyszło na jaw, że umówiwszy się z drugim kompanem, wspólnie wykonywaną pracę zapisywali na jeden rachunek; w ten sposób znacznie rosta premia. Sprawę zatuszowano, ale Cwierzick znalazł się poza fabryką. Chodził zresztą i prosił tak długo, aż go przyjęto z powrotem — usprawiedliwiający dla pociechy całe zajście jego „klasowym nieuświadomieniem”. Tartak się poza tym rozbudowywał, potrzebowano ludzi.

„Aferę premiową” Cwierzick wziął sobie bardzo do serca. Tłumaczył przełożonym, że „ma taką wredną naturę, że mu ręce same leżą gdzie nie trzeba” — i nawet w rok jeszcze później odmówił kategorycznie, kiedy go chcieli wybrać członkiem Komitetu Sklepowego; „inni nakradną, a na mnie będą psy wieszać” — prychnął, ale wiadomo było, dlaczego tak mówi (skąd miał zaproszenie na to pewno odczuł jako honor). Grubo oy się jednak mylił ten, kto by sądził, że zakrzywione palce chciwości — ten herb małych miasteczek — znikły z twarzy rodowej Cwierzicków.

Cwierzick dowiedział się o wysokich zarobkach furmanów, zatrudnionych przez „transporcie w Skawinie”. Stary kompan, z którym spotkał się w przejeździe do Krakowa, oświecił go najdokładniej: mając parę silnych koni i wóz z kołami na gumach — można zarobić do dziesięciu i więcej tysięcy na miesiąc. I to „legalnie”, uczciwie, bez żadnych machlojek (chyba — żeby, ale tego i tak nikt nigdy nie wykryje...).

Zabito staremu ciwieka w głowę. Nie mógł odtąd myśleć o czym innym, tylko o własnej parze koni i wozie na gumowych kołach. Penetrował ile by to mogło kosztować — targował się, jakby miał zamiar kupić już za chwilę — ciągle było jednak za drogo, i to o grube tysiące. Zaprowadził w domu jak najsurowzyszy rygor oszczędnościowy — ale i tak nie wrzyło to rychłego ziszczenia marzeń. Postanowił tedy zmobilizować do wysiłku finansowego całą rodzinę, to znaczy żonę i syna. Kampanię przemysłał jak urodzony dowódca, nieomal z mapą w ręku: bo pole walki nie ograniczało się do Sucheju, ale sięgało aż po Kalwarię i Skawinę, z wykorzystaniem ich specyficznych możliwości.

Na odcinku najbliższym stał Cwierzick: nie przerywał pracy w tartaku. Żona otrzymała w przydziale Kalwarię; w okresie letnich odpustów miała tam wozić i sprzedawać żółte, zmyślnie wypiekane kaczuszkę z białkowego ciasta, z ziarenkami kakolu zamiast oczu. Syn natomiast dostał obszar z gruntu różny: Skawinę, budowę huty aluminium. Na niego Cwierzick szcze-

gólnie liczył: dla młodego zarobki tam dobre przy byle jakiej robocie na akord, nadto syn „wkręci się” między ludzi i ułatwi potem pracę kołmi i wozem, po trzecie wreszcie — może się usatulkuje... Bo z synem, trzeba powiedzieć, miał Cwierzick kłopoty: chuligan i wal-kon. Wysiliwszy zatem cały swój spryt, zawarł z synem taką umowę: pojedziesz, weźmiesz się do pracy, będziesz oszczędzał, każdy zarobiony grosz przywoź do domu, dawaj mnie; ja dołożę drugie tyle, po jakimś czasie kupimy wóz i konie, razem będziemy pracować i zarobki dzielić po równi: pięć, sześć tysięcy na głowę — nie bagatela. Wtedy rób sobie co chcesz z tymi pieniędzmi. Będziesz miał z y c i e, uważasz...

Syn zgodził się, pojechał.

* * *

Jednakże stary nie dorobił się koni ani wozu.

— Taki już pokrecony mam los — biadoli — że mi widać sądzono nie na wozie jechać, ale pod wozem, i to cudzym...

Jakaż to przemożna siła pomieszała zwykły staremu Cwierzickowi, rozgromiła jego wojska we wszystkich punktach natarcia?

— Rozleciało się s a m o — stwierdza Cwierzick; wykonuje przy tym dłonią taki gest, jakby owo „samo” było przedmiotem dotykalmym, skonkretyzowanym, rozlanym jednak w wielu miejscach i stronach.

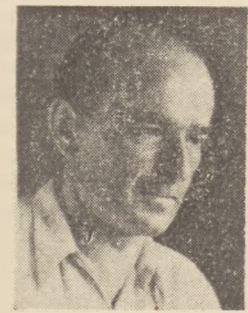
Więc to „samo” uderzyło na-przód w Cwierzickową. Pojechała do Kalwarii potulna, a wróciła wściekła jak osa. Po pierwsze: ludzi było mniej niż w poprzednie lata. Po drugie: zając spłoszył konia u cztygoś wozu, koń skoczył w tłum, zrobiła się panika jakby spadło tu całe stado Antychrystów. Cwierzickowa, srodze poturbowana, dała nura w krzaki, a kiedy wreszcie wychyliła z nich głowę — jej koszyków z okragłymi kaczuszkami już nie było. Interwencja u Matki Boskiej nie pomogła; Cwierzickowa wróciła więc do domu za pożyczonymi pieniędzmi, i zapowiedziała mężowi, że jej noga więcej w Kalwarii nie zostanie. Co najwyżej może pójść do pracy tutaj, gdzieś do GS-u albo do mleczarni. Ale niech sobie wtedy Cwierzick bierze gospodynię do domu, bo jej się ani śni zaharowywać dla jego jakichś tam nie wiadomo komu i na co potrzebnych koni; dość się naharowała przez całe życie.

Cwierzick, rad nie rad, położył uszy po sobie. Przynajmniej syn nie zawiedzie. Od trzech miesięcy regularnie co drugą niedzielę przyjeżdżał do domu i zostawiał ojcu część pieniędzy: niewiele tego było, to prawda, ale zawsze coś. Usprawiedliwien syna, że uczy się fi-chu, spawania czy czegoś tam i dlatego na razie mniej zarabia, nie przyjmował do wiadomości: na wszelki wypadek kłął go za każdą bytnością ile wlezie. Syn się obra-

Jerzy Lovell

książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki

Droga zabójców i droga prawdy



Leopold Buczkowski: *Czarny potok*, wyd. „Pax” 1934.

Nie można „Czarnego potoku” opowiedzieć. Niesposób streścić końca świata. Niedługo była Szabasowa, Huciska, Żalaski. Małe żydowskie miasteczko między wzgórzami podolskich Miodoborów, ubogie wsie, nędza, nadzieja, żywi ludzie. Niedługo istniał „plac pokryty śniegiem, dom, mogiły, oświetlone sale, głowy, pochylone nad księgami, stodoły ogromne, dźwięki psalmów, ganek ze zmurszałych cegieł, kawałki potłuczonego fajansu, w kącie kij podróżny i mały tłumok...” Później nadchodzi Niemcy, „śmierć porasta dokoła”. Przez podmiejskie ogrody, drewniany parkan getta uciekają do lasów Żydzi. Szukają broni, chronią starców, dzieci, kobiety. Śmierć jakby rozchodzi się od małego getta po całej okolicy, zaraża cały kraj. Przychodzi zima, płoną jedna po drugiej wsie, wzdłuż dróg, w lasach, leżą trupy. Jest w „Czarnym potoku” jakby antyczne przekleństwo... Jeszcze parę dni, miesięcy, lat, a nie zostanie tu nikt. Dlatego nikt nie ustępuje, bo nie ma z czego ustąpić, walczą się do końca, choć nie ma nadziei. Tylko starcom dana jest łaska rezygnacji: „Wszystko, co najstraszniejsze, jest już za nim... Po krótkiej ścieżce Buchsbaum zaniósł ciało wnuka do czarnego lasu i cichutecznie, ostrożnie ułożył na mchu. W ślad za nim po gołzinie przyszedł Chuny Szaja. Pochowali Nachumie pod kłosem. — Buchsbaum już się nie niecierpliwił. Siedział w krzakach i pilnował grobu, żeby go lisy nie rozszarpały. Czasem Chuny Szaja postął mu kawał chleba i butelkę mleka. Szames nie oddał się od grobu wnuka, zastąpił go tam śmierć”.

Jak to udźwignąć? Jak to opowiedzieć? Czy to w ogóle można opowiedzieć?

Buczkowski ustępuje głosu bohaterowi powieści. Wprowadza narratora, którego istnienie zaznacza tylko podtytułem na wstępie — i ów Heindl opowiada, co przeżył. Dobrze! do bezpiecznego zatknięcia, ma przed sobą parę godzin odpoczynku. Ogrzeje się, zje, zapali papierosa. Nie jest całkiem zdrowy, ma chyba gorączkę. Opowiada. Mówi beładnie, wraca po dwa, trzy razy do tego samego, miesza wypadki sprzed roku z wczorajszymi zdarzeniami. Jego słuchacz doskonale zresztą wie, o co idzie. Heindl nie musi pilnować porządku opowieści, zresztą w jego relacji wpada raz po raz sam autor, przerywają go odczucia, których by nie mógł opowiedzieć, bo są samym skurczem serca. „Czarny potok” staje się dla czytelnika chaosem. Nie wiadomo czasem, kto do kogo mówi. Strzępy powieści, nie powieść.

Ale Buczkowskiemu wcale na tym nie zależy, aby czytelnik rozumiał kolejność i logikę zdarzeń. A nawet — w pewnym sensie — chce, aby jej nie rozumiał. Gdyby bowiem owe zdarzenia ustawały logicznie, „zrozumiał”, czytelnik znalazłby się zewnątrz tragedii, patrzyłby na nią tak, jak widz patrzy na scenę. Widz wie więcej, niż bohaterowie dramatu. A Buczkowski pragnie go zmusić, aby wiedział tylko tyle, co oni. Nie, aby rozumiał mechanizm, ale by współprzeżywał katastrofę. Stąd głosy: „Buczkowski torturują czytelnika, to historia wyobraźni! — miałyby rację, gdyby Buczkowski pragnął uchwycić ton epiki, gdyby losy Szabasowej chciał — opowiedzieć. A on nie chce. Pragnie je — odtworzyć.

Przyjdzie oczywiście czas i na epikę. Czekamy. Czytelnik przyszedł, siedząc wygodnie w fotelu, dowie się, jak wymordowano naród. Lecz — czy „uwierzy”? Ile ludów wycięła w pień historia? O podboju Ameryki czytamy ze zgrozą, połączoną z niedowierzaniem. Nie „uwierzymy” w tamte zbrodnie, nie jesteśmy w stanie (i na szczęście) odczuć je całym sobą, przeżyć całym ciałem i duszą. Podobnie ów czytelnik nie będzie w stanie „uwierzyć” w to, o czym będzie czytał. Przynajmniej epika pozwoli mu sprawdzić katastrofę do stanu jego doświadczenia, będzie mógł udawać, że wierzy. Jednak w istocie nie ma miary porównania: nie można opowiedzieć końca świata. To zaś — jest „Czarny potok”.

Istnieje jakiś obowiązek — który może nie ma wiele wspólnego z literaturą — aby zapisać, o czym ten, kto był obecny, „do końca, po końcu świata”. Zapis ten daje tekst zarty, niezrozumiały; słowa na pozór jasne, których związek wydaje się jednak nierealny. Znaczenie ułatwia się z nich z la-

tami, w miarę, jak niknie punkt odniesienia, wspólny dla pisarza i czytelnika.

Tu właśnie jest klucz tej dziwnej powieści, jej „uchwyt jednolitości”, a raczej — uchwyt niejednolitości... Człowiek, który tkwi jeszcze psychicznie w podobnej tragedii podjąłby książkę natychmiast: zrozumiałe akcje byłaby mu obojętne, bo umiałby wcielić się całkowicie w narratora. Wszedłby w jego skórę — i wówczas logika akcji rozświetliłaby się od środka, od strony Heindla. Lecz dziś powstała już przepaść między założeniem i odbiorem powieści. Przepaść, która z latami może się tylko rozszerzać. Buczkowski nie koncentruje uwagi na poszczególnych losach ludzkiej, świata skłębionego losów obrazów, przeżyć, skojarzeń, których sens stałby się oczywisty (oczywisty, lecz niekoniecznie jasny, „jasność” byłaby tu obojętną) dla kogoś, kto potrafiłby wcielić się w Heindla; ponieważ jednak mało kto by to potrafił, interesuje czytelnika — przeciwnie — epiczna ciągłość losów ludzkich — których przebiegu autor nie chciał właśnie narysować. Kwadratura koła. Mam jednak szlachetny hymn nad grobem, książkę prawie nie do przeczytania, a przecież wstrząsającą; powieść, którą niesposób komunikować zalecić jako wzór literacki, ale którą trzeba uznać...

„Czarny potok” napisał to samo pismo co „Wertepach”; to widać. Ale jest to zarazem książką zupełnie inną. Po prostu nie wolno mieszać ekspresjonizmu z ekspresją, naturalizmu z naturą. Chyba, że się woli udawać, że natura i ekspresja są w literaturze zakazane. Tak sądziły wydawnictwa, skoro „Czarny potok” tułał się podobno trzy lata po redakcyjnych biurkach. Wstyd. Przynajmniej trzeba wznowić tę książkę, która rozeszła się tak szybko, że mało kto zauważył w ogóle jej wydanie. Można się było krzywić na zagęszczony w „Wertepach”, „lumpenproletariat faktów”: „lacy, smrody, błoto, gnoj, wszy. Nawet kiedy droga polna, to konieczność — cementarzysko kociat i króliczat zgnęconych w stajni bydlęcym racicami”!). Ale jeśli patrzeć na apokaliptycznymi oczami Heindla, to czym innym jest codziennosc życia, jeśli nie łachmanem i błotem? To historia tak urządziła bohaterów: pędzą oni — jeśli tak można powiedzieć — lumpenizacji. Jak twarz, to pocińczona, jak rana, to zropiała, jak obiad, to 16 kartofli, dzielonych na gromadę drżących rękami kobiety. Czy można opisać inaczej? Można, ale to nie byłby inny opis, to byłby opis czego innego. A z jakiej racji pisarz nie miałby próbować odtworzenia takiej katastrofy od wewnątrz, oczami Heindla? Ot, i cały ekspresjonizm... Nawet właściwy „Wertepach” brak postępu akcji, a ściślej mówiąc, pozorność akcji, w założeniu „Czarnego potoku” znajduje usprawiedliwienie: bo w monologu Heindla nie może być rzeczywistej progresji fabularnej. Sytuacja jego jest nieustanną odbitką: jak w koszmarnym sennym, istota przeżycia pozostaje ta sama, tylko dekoracja się zmienia: tu las, tam wieś, tu inny las. Groza jest zawsze ta sama.

Terror tematu, szantaż uczuciowy? Zapewne. Ale coś z tego. To nieprawda, że cokolwiek się o takich sprawach napisze, zawsze będzie przerażające. Przeciwnie. Nie bardziej nie demaskuje warsztatu pisarza. Jak się tu trzeba trzymać rzeczywistości, właśnie tej najzwyklejszej! Jak wygląda czapka prześladowcy, jak smakuje zgotowana na półgodzinnej kwaterze zupa, jak obsesja zawsze podobnych trosk zniekształca najwzajemniejsze zdanie. Pozornie tylko są to drobniaczki. Dla czytelnika nie ma bez nich prawdy całości, bo najmniejszy szczegół nabiera czasem ostatecznej wagi. Otóż Buczkowski ma właśnie ową niezwykłą precyzję zmysłów, która uprawomocnia zdarzenia powieści. Ale to nie sprawadza się do wrażliwości oka; to coś znacznie większego. Co ścisła w lekturze „Czarnego potoku” za gardło, to kontakt każdego zdania z rzeczywistością. Buczkowski może gubić się w ocenie, konstrukcji, wniosku. Ale zawsze prawdziwa jest ta aż bolesna ostryść spostrzeżenia. Zapewne, czasem Buczkowski poniesie: i coś zabrzmi sztucznie, bo za dobrze słychać „sztukę” pisarza, jego artystyczny chwyt. Ale nawet ów zgrzyt nie pochodzi nigdy z obojętności. „Czarny potok” pisany jest pełnią doświadczenia pisarskiego. Stąd wymiar jego bohaterów: siła i napięcie. Jest tam np. proboszcz, ks. Bańczęcki. Współpracuje z partyzantami, pomaga, chowa choć na parę godzin gromadę dzieci na plebani. Policja o tym wie, bo wszyscy wiedzą o wszystkim: w tej pustyni spalonych wsi gra toczy się w otwarte karty. Do Bańczęckiego przyjeżdża czasem na rozmówki Gail, oficer Gestapo, volksdeutsch. Mógłby książkę sprzątnąć, ale nie chce, bo liczy, że przy jego pomocy przehandluje parę żywotów ludzkich na inne — i na sławny w okolicy brylant. Dialogi Gaila z Bańczęckim... Rzadko w powojennej powieści czytalem

*) Kazimierz Wyka: *Pogranicze powieści*, 1948.

równie wstrząsające. Dialogi, logicznie biorąc, skłębione, niejasne, podsyte chytrnością, pełne odwrótów, napaści, zasadzek. A jednocześnie ściera się w nich największe racje ludzkie. W najważniejszych słowach, zdaniach poszarpanych, które skłaja nie gramatyka, ale prawda psychiczna: Bańczęcki nie przestaje być prowincjonalnym księdzem, a Gail niskim oficerem policji — choć przyjeżdża do Bańczęckiego jako diabełski wysłannik. Ideologia staje się tu rzeczywistością koncentracją życia, za każdym argumentem stoi los. Dysputa filozoficzna — ale, jak to ktoś dobrze formułował, jest to filozofia „w potrzebie”, wcielona w życie — jedyna potrzebna w literaturze...

Bowiem „Czarny potok” — i to jest największa zasługa Buczkowskiego — nie jest tylko dokumentem, relacją, lamentem. Dokument zbiega się (i to jest u Buczkowskiego nowe) w konflikt moralny: konflikt między uczuciami a skutecznnością, jak w każdej walce, a zwłaszcza takiej. Nie inny, niż ów zawarty w pytaniu Dostojewskiego, czy wolno by było za cenę śmierci jednego

dziecka zlikwidować całe cierpienie całego świata. Są sytuacje, w których przecząca odpowiedź na to pytanie wydaje się zbrodnią. W codziennym życiu wymija się je półśrodkami lub cierniowością, tu jednak wciela się w krańcowość. Czy można, czy wolno zachować czyste ręce? Czy zdjąć z palca zamordowanej dziewczyny pierścionek, skoro dąłoby się może przechować zań małego Dudi? Buczkowski wie, że to skuteczność zawsze zwycięża. Nie ma rady, w tym właśnie jest nieszczęście. Ale trzeba się bronić przed dwuznacznością moralną: umie to nie tylko książd Bańczęcki, ale także lekarz Chaim i robotnik Kuba Szerucki. Bańczęckiego wiejszają hitlerowcy, Szerucki zaginął (to znaczy zginął). Chaim zostaje przy bezbronnym, wybiera meczewstwo. Inni wybierają skuteczność. Kto odważy się rzucić na nich kamieniem? Wybierają z rozdartym sercem.

*

Nie wiem, czy „Czarny potok” jest dobrą powieścią. Ale coś to nas obchodzi? Wstrząsa prawdą to — wystarczy.

Jan Błoński

O autorze „Tomasza Jonesa”



Opasły i zadowolony z siebie Thwackum z powieści „Tom Jones” tak wyraża uczucia mieszczaństwa angielskiego swojej epoki: „Niebiosom niech będą dzięki, iż nie ma u nas dzisiaj Brutusów”. Pierwsza połowa XVIII wieku była bowiem w Anglii okresem względnej stabilizacji politycznej, w spokoju gromadzonego przez stan trzeci kapitału. Właśnie kapitał w rękach bogatego mieszczaństwa utworzył przed córkami i synami kupców i bankierów salony zubożalej arystokracji; właśnie kapitał doprowadził do tego, że sprężyły się osobiście — nowoczesne złoto z feudalnymi tytułami. Wzmocniła coraz bardziej swe polityczne wpływy oligarchia finansowa. Wywłaszczani dzierżawcy wiejscy w wędrowkach do miast, do warsztatów rzemieślniczych, szukali ratunku przed nędzą i głodem. W dziedzinie sztuki i filozofii był to okres realizmu i empiryzmu, wspaniałego rozwoju powieści i krystalizowania się poglądów Johna Locke’a.

Powieść mieszczańska owego półwiecza zawierała cały okres odzwoju swego narodu i wraz z nim przeszła ogromną ewolucję — od szlacheckiego bohatera, jakim był Robinson Crusoe, do tak szczególnego bohatera epopeicznego jakim stał się Tom Jones Fieldinga. Skąd się brała ta wyrazistość i niezwykła żywotność postaci powieściowych? Skąd dążenie do objęcia obrazem literackim możliwie największej ilości wydarzeń i sylwetek ludzkich? Niemalą rolę odgrywały tu koleje losów samych pisarzy, ich niezwykłe aktywne uczestniczenie w życiu społecznym. Defoe za wolnomyślicielskie broszury skazany został na więzienie, w późniejszym okresie stał się agentem rządowym. Autor anonimowych broszur pisanych w obronie narodu irlandzkiego przed strasznym wyzyskiem — Swift, poszukiwany był listami gończymi policji angielskiej. Fielding wielkim głosem domagał się naprawy sądownictwa brytyjskiego. W publicystycznych artykułach Steele’a i Adisona tkwiły żalaki bohatera mieszczańskiej powieści. Coraz częściej pojawiały się kluby literackie i gazety. Pisarstwo tego okresu jest bojowe, ofensywne, odkrywcze i namiętne. Autorzy starali się dać, jak powiada Ralph Fox, obraz „nowego społeczeństwa, w którym żyli; wierząc w jego możliwość kierowania światem, a jednocześnie ani na chwilę nie zapominając o okrucieństwie i niesprawiedliwości sfer, których dziećmi byli ich bohaterowie”.

Sięgamy dziś do powieści Henryka Fieldinga, których pierwsze polskie przekłady — a właściwie przełobki, często drogą okreśną przez Francję — ukazywały się przeszło półtora wieku temu. Druga połowa ubiegłego stulecia nie wykazała zainteresowania dla dzieł Fieldinga. Toteż nowe przekłady*) bezpośrednio nawiązują do dorobku naszego Oświecenia.

*) Henryk Fielding: *Przygody Józefa Andrzeja*. Tłum. Maria Kornilowicz. Wiersze tłum. Włodzimierz Lewicki. PIW 1954. Wyd. II.

Dzieło wielkiego Jonatana Wilda. Tłum. Jan Rusiecki. „Czytelnik” 1955. W druku jest polski przekład „Toma Jonesa” — nakład PIW.

Autor „Przygód Józefa Andrzeja” rozpoczął karierę literacką wystawieniem komedii „Miłość w kilku maskach” (rok 1728). Zapewniła mu ona powodzenie satyrycznym i humorystycznym zacięciem — tymi cechami jego pióra, które później stały się specyfiką twórczości powieściowej Fieldinga. Londyńska publiczność teatralna stała się świetną podniętą dla pisarza. Wyrobiła w nim dużą prostotę języka i poczucie odpowiedzialności za słowa. Nieprzejednany był Fielding — dramaturg w wysmiewaniu rządów sir Roberta Walpole’a, whigowskiego ministra, który karierę parlamentarną oparł na sprytnym systemie przekupstw i protekcji. Najbardziej wyraził to w dwóch komediach, uważanych za szczytowe osiągnięcia jego scenicznego dorobku. Pierwsza to „Tragedia tragedii” czyli życie i śmierć Tomcia Palucha (Walpole’a), druga był „Rejestr historyczny” za rok 1736”. „Tragedia tragedii” jest przede wszystkim satyrą na pseudo-klasyczną nudę pojawiającą się na scenach angielskich. I tu jednak korzysta Fielding z okazji, aby skierować ostrze swej satyry przeciw systemowi rządów: zrozpaczonej król na wieść o zjedzeniu Tomcia Palucha (Walpole’a) przez krowę (a Tomcio to mężny obrońca monarchii) cofa wydany uprzednio akt o powszechnej amnestii:

Zamknąć zaraz więzienia. Niechaj skarbnie Nie daję ni szeląg. Powywieść Wszystkich, czy winni, czy niewinni zgoła. Czyste dziewice niech będą gwałcone. W szkółkach niech wszystkim żakom złożą skórę. Niechaj po świecie szaleją bezkarnie Ksiądz i adwokat z lekarzem pospół: Niech oklamują, rabują, mordują.

Żaś w „Rejestrze historycznym” prezentuje Fielding pigułkę nie do strawienia dla Walpole’a, taką oto rozmowę Patriotów i Polityków: „Panowie, mój sklep jest mi ojczywną, i zawsze pomyślną tejsz miejsz pomyślnością mego sklepu”. Polityk dodaje: „Do diabła ze sprawami polityki zagranicznej, zajmijmy się lepiej pięknymi”. Ale cóż by tu opudłować? Może uczoność? Nie zapada zgodna decyzja, że najkorzystniejsze będzie nałożenie podatku na głupotę. Sam Walpole został wysmiany w „Rejestrze” pod postacią Quidda. Tego już było potężnemu ministrowi dość. W 1737 roku przeprowadza w parlamencie ustawę o cenzurze rządowej dla sztuk teatralnych (t. zw. Licensing Act) zamykając w ten sposób Fieldingowi drogę do teatru, i to w chwili, gdy odważny autor komedii, fars i burlesk mówił, iż znajduje się dopiero u początków kariery pisarskiej.

Pięcioletnią przerwę w działalności pisarskiej wypełnił Fieldingowi studia prawnicze. Po ich ukończeniu został powołany do praktyki sadowej najpierw w samym Londynie, później w jego okolicach. Bezpośrednie zetknięcie się z przykładami krzywdy społecznej, z intyngami, demoralizacją kół dworsko — urzędniczych miało ogromny wpływ na ukształtowanie wyobraźni twórczej pisarza. Choć nie wyszedł z n w obrzędzie życia społecznego poza wartości dla Oświecenia kategorie „dobra” i „zła”, to jednak dał wielki, panoramiczny fresk literacki angielskiego społeczeństwa, z ambicją poznawczą wielokrotnie przewyższającą swych poprzedników, z postaciami z londyńskiej ulicy, z nędznej chalupy wiejskiej, z tłocznej od łazgów oherby przydrożnej. Starał się Fielding w każdym z opisanych bohaterów ująć c h a r a k t e r, zobrazować jego cechy psychiczne, przedstawiać je tak, jak się w ciągu określonego toku wydarzeń rozwijały.

Dlatego tak entuzjastycznie powitał Fielding twórczość Williama Hogartha. Nazwał go swym mistrzem i na autorytet wielkiego artysty wielokrotnie powoływał się

w swych powieściach. Hogarth wystąpił wówczas z seriami rysunków „satyrycznych i komicznych” — jak je nazwał Fielding. Przedstawiał postacie zgoda nieznane otąd angielskiemu malarstwu: wizerunki leniwych i pracowitych czeładników, dyżłans z tobotami na dachu, zza których wзира susząca się bielizna, złodziejasek w zagymnnej knajpie, dziewczka uliczna, oomorusły polityk, zebzak na schodach. W pojęciu współczesnych, których smak artystyczny urabiał malarstwo salonowe, twórczość hogartha była „wulgarna”, pospolita. Nie dostreżono jej wielkich wartości ani zasaonicego celu artysty: dotarła do sedna charakteru ludzkiego. Humor i satyra, serdeczne współczucie dla nędzy Londynu, nęczy angielskiej prowincji — stały się dla Fieldinga najbliższe z malarstwa Hogartha. Twórca przyjazn powiesciopisarza i piastka wsparta była na wielu wspólnych cechach ich sztuki. Hogarth umieścił na kartce wypełnionej studiami profiliów twarzy napis: „Co do dalszej różnicy między charakterem a karykaturą zobacz przeomowę do Józefa Andrzeja”. Współczesny krytyk tak określa Hogartha: „Iączył w sobie oko i rękę malarza z umysłem powiesciopisarza. Wynalazł istotnie nowy styl malowania oparty na fabule” (Eric Newton: British Painting).

W momencie, w którym ukazała się pierwsza powieść Fieldinga, święta triumfu wydańczone stylizacja „Pamei” Richardsona, książka gorylikująca zasady purytańskiej moralności, opisująca sukcesy „cnoty nagrodzonej”. Fielding zarzucił „Pamei” głępką niemoralności i sentymentalną ciekawości w ukazywaniu ludzkich charakterów. Jego żywy temperament i ostry zmysł satyryczny nie mogły się pogodzić z Richardsonowskim obrazem rzeczywistości. Toteż „Przygody Józefa Andrzeja” Przyjaciela jego Pastora Adamsa” rozpoczął Fielding pisać z myślą o sparodiowaniu i wysmianiu „Pamei”. Stąd odwrócona sytuacja: cnotliwy Józef, brat Pamei, odpięć musi natarczywe ataki lady Booby. Ale pasja pisarska zwyciężyła pierwotny zamysł, który kończy się z chwilą, gdy nasz bohater usunięty ze służby przez dziedziczkę, wyrusza w pełną najrozmaitszych przygód podróż po gościnicach i oberżach hrabstwa. Pod piórem Fieldinga parodia urosła do rozmiarów samodzielnej powieści. Co więcej, stała się nową jej odmianą.

Tradycja opisywania pewnego ciągu przygód wywołała się jeszcze z czasów Odrodzenia (w formie opowiadań dworskich, bądź lurowych opowieści lotrzykowskich). Oświecenie dokonało ich dalszego rozwoju, stwarzając powiastkę filozoficzną — preludivm wielkiej powieści. Powiastka taka posługiwała się pozorną bajkownością, kapitalnymi postaciami, które narzucały się wyobraźni czytelnika nie tyle akcją i działaniem, co celną sentencją. Powieść do-fieldingowska kontynuowała w zasadach tradycję „szeregu przygód” z szeroko już rozbudowaną akcją. Dopiero Fielding zsyntetyzował doświadczenia powieści pikareskiej i opowiastki filozoficznej. „Przygodami Józefa Andrzeja” stworzył nowy gatunek powieściowy, który nazwał eposem komicznym prozą — comic epic in prose. Teorię nowego gatunku literackiego wyjaśnił w przedmowie, do utworu, którego dzieckiem stał się „Klub Pickwicka”. Specyfikę eposu komicznego wyraził w słowach: „od poważnego romansu różni się epos komiczny fabułą i akcją, gdyż w pierwszym wypadku są one poważne i uroczyste, w drugim zaś lekkie i pocieszne, różni się także charakterem bohaterów, którzy w romansie komicznym bywają ludźmi niższej kondycji”. Prawdziwym bohaterem „Józefa Andrzeja” jest pastor Adams łączący w sobie rubasznosc z delikatnością, plebejską prostotą z erudycją i biegłością w księgach starożytnych. Postać pastora Adamsa, filozofa w wyszarzalej sutannie, porywa humorem i radosnym optymizmem. Jakimś nieodrodnym dzieckiem Oświecenia jest nasz duchowny: „sprawiedliwy i dobry Turek czy inny poganin miłszy jest oczom Stwórcy niż grzeszny i słaby chrześcijanin”.

W powieści „Wielki Jonatan Wild” zabłysnął Fielding zjadliwą satyrą na współczesność nie znaną czytelnikom od czasów literackiej działalności Swifta. Thackeray uznał tę książkę za najwspanialsze osiągnięcie satyryczne w literaturze angielskiej. Bo też stała się ona bojowym atakiem na partię polityczną, salony londyńskie, fałszywe wielkości i pruderię moralną. Bohaterowi — którym jest autentyczny opryszek londyński — towarzyszy autor ze złościwą precyzją i dokładnością przy wszystkich kolejach zbrodniarzej kariery po to, aby doprowadzić go z satysfakcją na szubienicę (nie zapominając przy tym dodać, że linia była dobrze skreślona). Oświeceniowy optymizm autora triumfuje i tu, pomimo dużej dozy goryczy, której niesposób było Fieldingowi uniknąć. Sama bowiem postać lotrzyka londyńskiego jest wielką przenośnią literacką; nie zapominajmy, iż na rok przed wydaniem „Dzieł Jonatana Wilda”, skończyła się polityczna kariera Walpole’a jednego z największych lotrów angielskiej polityki. „Dopóki określenia „wielki człowiek” i

„wielki lotr” pozostaną synonimami, dopóty Wild nieprześcigniony będzie w wielkości”. Ironią i krytyką naprawić chciał Fielding ludzkie charaktery i instytucje społeczne. Dwie te dziedziny — ironia i krytyka — nabrały szerokiego, epickiego rozmachu w potężnym dziele powiesciowym, które krytycy ówczesni postawili obok Iliady, Eneidy i Laju Utraconego — w „Dziejach Toma Jonesa, znajdy” (1746—1748).

W „Nowoczesnym słowniku” w ten sposób wyjaśnił Fielding hasło „Nikt”: „wszyscy ludzie w Wielkiej Brytanii z wyjątkiem około tysiąca dwustu”, „Nikim” z punktu widzenia stosunków społecznych jest Tom. Nie zmienia postaci rzeczy fakt, że w epilogu powieści odkryje swe szlachetwo. Przez cały tok akcji uważany jest za znajcę, pozostaje typowo ludowym bohaterem, którego pisarz ani przez chwilę nie idealizuje. Napisany w myśl naczelnej zasady Fieldinga, iż „materiałem, z którego czerpiemy, jest przede wszystkim natura ludzka”, utwor zawiera prawie dwiesięć postaci, dziesiątki przygód, epizodów, ogromną różnorodność charakterów, a przy tym wspaniałą konsekwentność akcji. „Tom Jones” to Anglia XVIII wieku, Anglia patriarchalnej wsi i miasta w którym legło się zepsucie, kraj zacieklej sporów filozoficznych od katedr uniwersyteckich aż po odległe siedziby ziemiańskie, kraj w którym resztką sił bronił się purytanizm. Postać „Toma Jonesa” — jak zresztą i innych utworów — służy celowi dydaktycznemu autora: mają wychować czytelników, Dumny i chciwy szlachcic Westera (planujący — nierealizowane — małżeństwo córki biorąc jedynie pod uwagę płynące stąd korzyści materialne) ma swoją antytezę w postaci szlachetnego ziemianina (choć nie bez wad) Allworthy’ego. Ukazany w powieści spokojny, rozległy nurt życia, w którym autor wyodrębnił indywidualne losy i przeżycia bohaterów, przeniknięty jest atmosferą „przytłumionych konfliktów”. Atmosfera owa jest charakterystyczna dla tego okresu Oświecenia angielskiego, w którym znajdowało się ono na „historycznej przepaści” między dwiema rewolucjami: korzystając jeszcze z owoców pierwszej, a nie będąc gotowe do drugiej.

Tworząc dzieło o jednolitej konstrukcji, dowiódł Fielding swego mistrzostwa pisarskiego. Pragnął zresztą wyczerpująco i dokładnie wyjaśnić, Dlatego każdą księgę „Toma Jonesa” poprzedził krótkim wstępem teoretycznym. Rzucił więc najpierw walcząc słowo krytykom w obronie plebejskiego bohatera, dowiódł konieczności historycznego traktowania wydarzeń i popoprowadzania wyobraźni pisarskiej rzeczywistości — opisywania tylko tego, co prawdopodobne i możliwe. Gardził opisywacielm i domagał się selekcji materiału literackiego: „ukazując charaktery poszczególnych bohaterów nie mam zamiaru wyszczadzać indywiduów, lecz typy”. Dał teorię komizmu opartą na zasadzie kontrastu sytuacji i charakterów. „Tom Jones” daleko wykraczał poza ramy eposu komicznego, choć taki kształt zamierzał autor nadać — zawiera cechy powieści społeczno — obyczajowej. Z tą samą siłą tworzącą pisaną jest mniejsza rozmiarami od „Toma” powieść „Amelia”. Wydana na trzy lata przed śmiercią Fieldinga (zmarł w 1754 roku), w okresie ogromnej aktywności społecznej pisarza, który bez wtychnienia pracował wówczas jako sędzia pokoju, zawiera głębsze może ujęcie charakterów. Brak jej natomiast radosnego uśmiechu poprzednich powieści, jest bardziej moralizatorska. Przedstawił i oskarżył w niej Fielding cały angielskie. Zreformowaniu i usprawnieniu ich działalności poświęcił ostatnie lata swego życia. Wierzył mocno, iż reforma sądownictwa zreformuje cały aparat państwowy. Jak prawdziwy mieszczanin (choć pochodził z podupadłej rodziny arystokratycznej) wierzył w pozyteczną działalność kupca i Geldy Królowski, „które nie odważyły się podpalić żaden patriotą”. Mieszczańskim optymizmem przeniknięte są mowy sądowe pisarza i jego artykuły filozoficzno — moralizatorskie. W powieściach zaś zawsze w końcu pognebniony zostaje lotr i głupiec, a triumfują szlachetni: Józef i Fanny, Tom i Zofia, Amelia i Booth. Był Fielding dla współczesnych i pozostał dla nas wielkim humanistą swojej epoki. Satyryk obyczajów i przyjaciel ludzi — te właśnie cechy przejęły od autora „Toma Jonesa” najwięksi powiesciopisarze następnego stulecia: Dickens i Thackeray. Taki też — ironicznie, a przecież serdecznie uśmiechnięty, pełen wiary w człowieka — jest dla nas Fielding dzisiaj.

Wojciech Adamiecki i Ryszard Wasila

JAN HUSZCZA

POZYCJA

Od razu czuło się, że to nie jakis tam chłystek czy szatapat. Jego wystąpienia zawsze spotykały się z żywą aprobatą, gdyż ze swadą wypowiadał prawdy wszystkim znane.

Miał okoloną siwizną szlachetną twarz, jaką dysponują albo hochsztaplerzy, albo ludzie zasługujący jeśli nie na uznanie, to na powszechny szacunek.

Zmieniał często żony, ale w naszym środowisku nie budziło to takiego sprzeciwu, jak np. wypicie dwóch kieliszków wódki ponad normę.

Pisywał wierszowane gawędy, a przede wszystkim miał renomę doświadczonego satyryka.

Ubiierał się skromnie, ale ze smakiem. Znał się na kupcach wełny z paczek, stylonowych skarpetek i wiecznych piórach.

W rozmowach postugiwał się wyrażeniami nieco odświeżonymi. Nie mówił: poszedłem, ale: udałem się... Nie: powiedziałem, ale: zabrałem głos... Nie: byłem, ale: wziąłem udział...

Gdy miejscowe gazety organizowały jakieś wypowiedzi, to prawie zawsze zaczynało od niego, choć jego nazwisko było prawie na końcu alfabetycznego porządku.

Powoływano go — ku zadowoleniu wszystkich — do prezydium co ważniejszych zebrań.

Zagażał odbywające się na wolnym powietrzu zloty i festiwale.

Niejednokrotnie jego nazwisko spotykało się wśród wyróżnianych i odznaczanych.

Gdy do którejśkolwiek redakcji przynosił swoje fraszki, to wyglądało na to, że robi redakcji zaszczyt. Doskonale wrażenie, jakie sprawiał swoim wyglądem, natychmiast udzielało się i położonym na biurku przed redaktorem kartkom maszynopisu...

Niedawno zaszła potrzeba wystąpienia w prasie przeciwko Przewodniczącemu Prezydium Rady Narodowej naszego miasta. Chodziło o mieszkani dla profesorów, zabrane na rzecz jakiegoś biura.

Dosłaliśmy do wniosku, że dobrze byłoby, gdyby takie satyryczne wy-

stąpienie — niekoniecznie nawet dowcipne — było poparte jakimś powszechnie cenionym nazwiskiem.

Zgłosiłem się więc do niego z prośbą o felieton na temat profesorów. Mówiłem prawdopodobnie niezbyt jasno, gdyż odezwał się:

— Profesorów chętnie mogę zaatakować! Jeżeli to ludzie starsi, to na pewno mają w sobie rozmaite przeżytki!

— Czcigodny kolego — pośpieszyłem ze sprostowaniem — tu chodzi o zaatakowanie nie profesorów, ale tak zwanej głowy miasta!

Zamyślił się...

Po chwili oznajmił, że zastanowi się i da odpowiedź jutro.

Nazajutrz jednak o umówionej godzinie nie zastałem go w domu.

Kilka razy telefonowałem, ale na próżno...

Po tygodniu doszedłem do wniosku, że z jakichś nieznanymi mi powodów nie chce zabierać głosu w tej sprawie.

Gdy głowiłem się nad przyczynami, wśród wielu myśli przyszła i ta, że boi się, że nie chce zadziwiać z osobą ważną na bezpośrednim terenie jego działalności. Szybko jednak zgromiłem siebie za tę nieprzemyśloną myśl: on i asekuracja?! Przecież on właśnie Trumana i Eisenhowera stale atakuje, japońskiego mikada i stonkę ziemniaczaną, gen. Franco i biurokrację, bary mleczne i kulactwo...

Wątpliwości jednak ciągle we mnie się odzywały.

Żeby je uciszyć, zwierzyłem się wreszcie przyjacielowi:

— Czyżby nasz czcigodny i siwowłosy kolega bał się głowy mia-

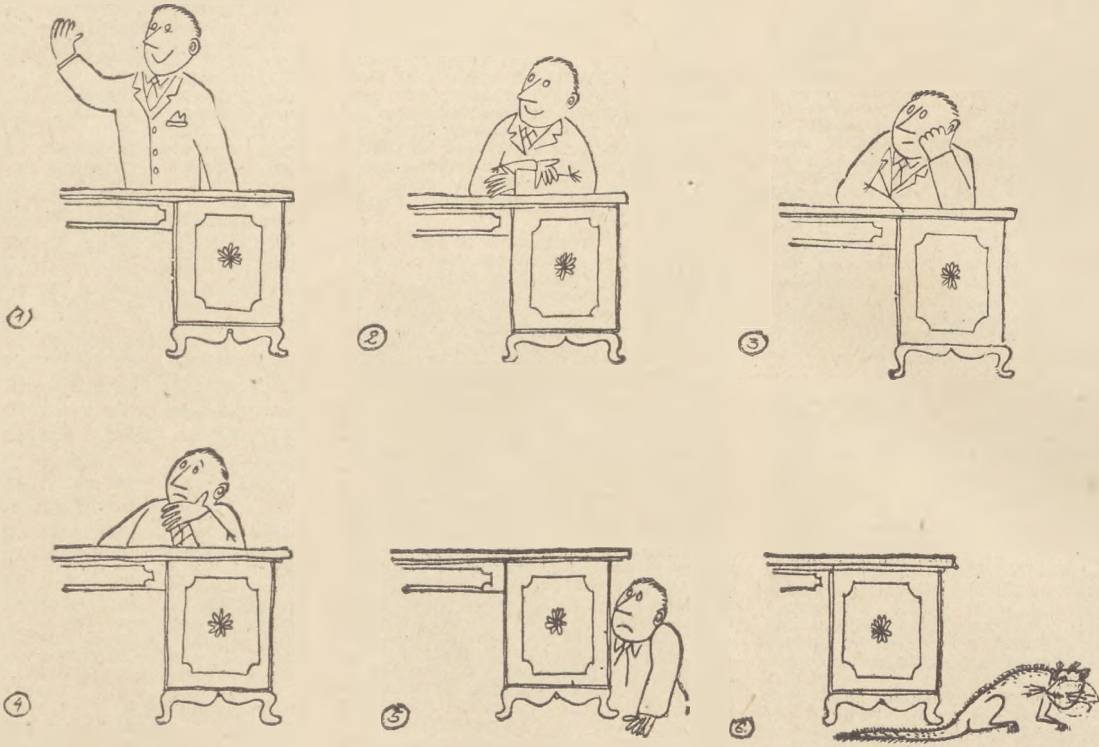
sta? On, który jest taką muirowaną pozycją, który stale przypomina, że dłużej pisarza niż dygnitarza...

Przyjaciel spojrzał na mnie jak na dziecinę z przedszkola, figlarnie poglaskał mnie po tyłej głowie, przepiślowo spinał do stojącej w kącie spluwaczki i zaśmiał się:

— Fufarko z nadwiślańskiej wierzbiny! Na jego pozycję składa się właśnie cały szereg zręcznie ominiętych sytuacji podobnych do tej, w jaką chciałeś go zaangażować...

Mój przyjaciel jednak znany jest ze złośliwego stosunku do siwowłosego kolegi, na którego nieobecność w sprawie profesorów mogły przecież składać się jakieś inne przyczyny. No... mogły, psiakrewn!

Jan Huszcza



Rys. Lech Zahorski

LEOPOLD LEWY
BAJKA O OŚLE

Pewien kłapouch, co miał w nosie muchy,
Pienił się, kiedy nań wolano: „Kłapouchy!”
Lub tak poza plecami wspomniano o nim,
Bo kłapouchy to głupca synonim.
„Od nazwy tej sromota moja się zaczyna,
Oto mych upokorzeń — zawał! — praprzeczyna...”
Umyślił zatem gorbyć się ozdób na głowie,
Sądząc, że wieść o nim nikt „głupiec” nie powie.
Wziął nożyk, przed lustrem stanął, ryknął srodze,
Głuch — mach i uszy leżą na podłodze.
Człł się nawet szczęśliwy, chociaż krwawił bardzo —
Pewny, że ludzie nim więcej nie gardzą.
Ale oharą uszu — rozumu nie kupi:
Jak był głupi z uszami, tak bez uszu — głupi.

WILCZĘ I OWCE

W pewnej wilczej rodzinie — nazwisko przemilczę —
Przyszło na świat kosmate, muskularne wilczę.
Zrobił się wielki jubel — w całym wilczym rodzie
Prawiono o szczenięcia sile i urodzie.
Wilczyce wychwały elastyczność skóry,
Wilcy zaś — łapki, z których wyrosną pazury;
Stary wilk w pyszczek zajrzał, gdzie wyrzną się kły,
I orzekł z dumą: „Będzie krwiożerczy i zły!”

A w okolicy wszystkie owce posmutniały,
Ze im na zgubę zrodził się drapieżnik mały.

ŻYCZENIA

DO REDAKCJI „NOWEJ KULTURY”

W liście L. Nowerlego, zamieszczonym w nr 25 Waszego pisma pt. „Problemy — pismo popularne” znajduje się następujące zdanie: „...dochód płynący z „Problemu” wynosi akurat tyle ile deficyt „Szpilek”.

Jak wiadomo, prasa nasza nie jest wydawana na zasadach komercyjnych i miernikiem poczytności pisma nie jest żaden „dochód” ani „deficyt”. Jedynym obiektywnym sprawdzianem popularności pisma są cyfry zwrotów. Wobec tego, że procent zwrotów „Szpilek” za rok 1954 wynosi 1,8 przy 13 proc. zwrotów „Nowej Kultury” i 7,3 proc. „Problemu” — wydaje nam się, że przykład tow. Nowerlego nie jest zbyt szczęśliwie dobrany.

Pragniemy dodać, że w br. przy zwiększonym nakładzie, procent zwrotów „Szpilek” spadł niemal do zera (w I kwartale — 0,2 proc.). Gdyby nie deficyt papieru rotograficznego, dalsze zwiększenie nakładu zamieniłoby deficyt finansowy w czysty dochód, czego i Wam z całego serca życzymy.

REDAKCJA „SZPILEK”

STANISŁAW JERZY LEC
MYŚLI NIEUCZESANE

„Styl to człowiek”. Jakże niezamieszkaną byłaby nasza ziemia.

Rada dla pisarzy: W pewnej chwili trzeba przestać pisać. Nawet przed zaczcieniem.

Zapomniałem jakąś myśl zapisać. Żeby mi ją chociaż był ktoś ukradł.

„Gdybym był młodszy, dziewczyno, gdybym był młodszy!” No cóż — byłbym w ZMP.

Jestem za reglamentacją papieru. To ukróci słowolejstwo. Gdy będą zmuszeni pisać palcem po ścianie, poznają trud, zapach i niebezpieczeństwo słowa.

WŁODZIMIERZ BORUŃSKI
PIOSENKARZ

Raz młody autor przyniósł
Piosenkę dla aktora,
Ten przejrzał ją dokładnie,
W ramiona wziął autora
I rzekł z uśmiechem: — Brawo!
Z radością ją zaśpiewam,
Wspaniale arcydzieło...
Lecz niech pan się nie gniewa,
Bo muszę mówić szczerze,
Nie znoszę żadnej błagi,
Zapewne pan to słyszał,
Że jestem trochę fragik,
Więc chyba pan z łatwością
Z tragedii coś docepi
Do cantu lub refrenu,
Bym mógł zabłysnąć lepiej.
U pana wielka miłość
Przewija się w refrenie,
Więc niech pan raczej zmieni
Tę miłość na cierpienie...

Ja cenię pański talent
I zapal — powiem więcej:
To wszystko przecież widać
W rozkosznej tej piosence,
I gdyby jeszcze mógł pan
W swym dziele, drogi panie,

Gdzieś tu i ówdzie wstawić
Porywający taniec,
(To też jest moja pasja,
Też z tego jestem znany),
Więc gdyby mały taniec,
To sukces muirowany!

A może gwizd dodamy?
To ładnie będzie nawel,
Zaręczam, że piosenka
Przyniesie panu sławę!
Ach, jakaż ona będzie
Uroczą, marzycielską,
Bo trzeba panu wiedzieć,
Że gwizdźć jak Kotlerbska!

Odbyla się premiera,
Na sali była cisza,
I dziwny fakt się zdarzył:
Piosenki nikt nie słyszał,

Bo jej nie było wcale,
A był, po zmianach licznych,
Tragiczny rodzajowy balet
Z gwizdaniem artystycznym.
(Z Buchnowa i Kosiukowskiego)

Frashki

WITOLD GAWDZIK
POCHWAŁA SATYRY

Satyryk uszczęśliwia zawsze ród człowieczy:
Dobry — bawi i uczy, zły — bezsenność leczy,

STEFF TATKOWSKA
O POEZJI

Poeta na traktorze — Muza na Pegazie,
Kiedyz wreszcie jeździć będą r a z e m ?
(Uwaga! Przeciężony już jest traktor biedny,
Może by się poeci na kombajny przesiedli?)

O STYLU

Znane jest stare przysłowie:
„Styl — to człowiek”
Lecz niekiedy nasuwa się nowe:
„Styl — to środek nasenny na piśmie lub w mowie”.

ZAGADKA

Czy po dziewczyny płaczesz zdradzie,
Tak smutny jesteś przez dzień cały?
Nie — dziewczęta wychodzą w dość dużym
n a k ł a d z i e,
A ta, której ja szukam, w zhyt małym.

Nowe książki

„CZAS UMARLYCH” PIERRE GASCAR. Przełożył z francuskiego Maria Wisłowska i Bolesław Kielski. PIW 1955, cena zł 2,40.

Pierre Gascar jest autorem dwóch powieści i dwóch zbiorów nowel. Jeden z nich zatytułowany „Les Bêtes”, a także opowieść „Czas umarłych” zostały odznaczone nagrodą Goncourtów. „Czas umarłych” opiera się na własnych przeżyciach autora, który przeżywał pięć lat jako jeńiec wojenny w różnych obozach.

„Pewnego ranka na skraju drogi, która prowadziła na cmentarz, leżał nieżywy człowiek. Bez twarzy; był zanurzony w trawie. Bez oznak, prócz opaski z gwiazdą Dawida. Bez śladu krwi. Właściwie nie ma jej prawie i w całej tej opowieści o śmierci” — czytamy w jednym z rozdziałów. Rzeczywiście, w opowieści tej nie ma krwi, niewiele także bezpośrednich opisów zdarzeń, trybu życia, okrucieństwa dyscypliny obozowej. Te sprawy są pozornie drugoplanowe; pokazuje je autor poprzez spustoszenie jakie czynią w człowieku. I w tym chyba największa wartość i w tym właśnie leży siła oskarżycielska tej opowieści o „cmentarniach”, grabarzach obozowych. „Jestem przeciw EWO, jako autor „Czasu umarłych” ponieważ sam przeżywałem to, co w tej książce opisuje. Po to mówiłem o tych rzeczach, by się już więcej nie powtórzyły” — pisze Gascar.

ALEKSANDER FADIEJEW „Kłęska”. Przełożył z rosyjskiego Bolesław Piach i Jerzy Putrament. PIW 1955, cena zł 6,50.

Tłem historycznym powieści Fadiejewa są walki rewolucyjnych oddziałów partyzanckich na wschodnich rubieżach Rosji w okresie najcięższym, kiedy grupy partyzanckie ponosiły klęski w starciach z wojskami interwentów japońskich i białogwardyjskim kozactwem. Wbrew temu, czego można by się spodziewać po temacie — zainteresowania autora skupiają się nie na elementach batalistycznych, lecz na psychologii bohaterów walk. W. Kiwilszo we wnikliwej, pięknym literackim językiem napisanej przedmowie mówi: „Fadiejew pokazuje, jak w warunkach trudnych, nieraz ponad miarę człowieka, dokonuje się proces edukacji charakterów. I ta myśl przenika wszystkie od początku wydarzenia powieści”. „Kłęska” ukazała się w roku 1926. Przeciustawiała się naiwnemu, naturalistycznemu widzeniu rewolucji. Kiwilszo zwraca uwagę na jej rolę i wpływ na późniejszą literaturę radziecką.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI „DRUGI NOTATNIK WARSZAWSKI”. PIW 1955, cena zł 3,30.

Tytuł książki i zaczerpnięte ze Słowackiego motto: „Warszawo! Tę pieśń ci pod nogi kładę I nog skrwawionych Twoich sięgam głową...” — sugeruje już treść i wartość tego tomu. Nie tylko wypróbowani w swojej wierności Warszawie mieszkańcy miasta sięgną do tego urozmaiconego zbioru, który wypełniają liczne wiersze, opowiadania, wspomnienia, obrazy i procesje Waryńskiego, szkice z walk 1905 r., wspomnienia o święcie pierwszomajowym, obchodzone w 1928 roku i niewielkie obrazy z życia powojennej już stolicy Tom ten zamijka dedykowane Warszawie szczerzo:

„Dla niej — co mam i co mieć będę:
Życie i myśli i nadzieje
i sny, i całą ma habendę —
to wszystko, co się w sercu dzieje.
I w głowie!... Wszelkie wiersze moje
Ję najpokorniej zapisuję
wierząc, że przyjmie je jak swoje,
bo z niej. I nożki jej całuję...”

AUGUSTYN NECEL „KUTRY O CZERWONYCH ŻĄGLACH”, „Czytelnik” 1955, cena zł 9,50.

Augustyn Necel, rodem ze Sławoszyna, najwcześniejsze swoje dzieciństwo spędził w nadmorskim Chłapowie. Najpierw był pastuchem, potem pomocnikiem na szkucie wozącej ryby ze Szwarcowa do Gdańska, wreszcie marynarzem na pruskim żaglowcu. Pierwszy rozdział książki Necla kończy się w momencie wybuchu wojny prusko-duńskiej. „Książka jest nieocenionym źródłem dla etnografów, historyków i literatów — mówi Franciszek Fenikowski we wstępie poświęconym „kronikarzowi spod rózewskiej błędy” — wielką mają wagę w tej książce nagie fakty, zwycięstwo z jaką mówi się o zdarzeniach, których opis pod piórem literata rozrósłby się w całe rozdziały”. — Są tu nie tylko cenne realia doty-

czące życia rybaków w ubiegłym wieku, wiadomości o metodach połowów, zabobonach i wierzeniach Kaszubów, o ich wyprawach handlowych, o wyszysku kupców i grabieży rozbitych statków, ale także ze wiadomości o pierwszych sezonowych związkach rybaków, zakładanych dla wspólnego przeprowadzania połowów, wymagających większej ilości rąk roboczych, o tzw. maszoperiach, które próbowały walczyć z wyszyskiem kupców i junkrów.

„Kutry o czerwonych żaglach” to właśnie pierwsza maszoperia, której członkowie ufarbowali żagle swoich łodzi na czerwono, aby łatwiej poznać się i komunikować na morzu, a w razie potrzeby służyć sobie wzajemną pomocą. Ta swego rodzaju spółdzielnia rybacka przetrwała 8 lat i rozwiązana została w roku 1902, kiedy zniknęły lososie w wodach Bałtyku.

Fenikowski we wstępie opowiada o swojej wizycie u kaszubskiego kronikarza, „konserwatora uciekającego czasu” i prezesa Zrzeszenia Rybaków we Władystawowie: — Necel w dalszym ciągu zajmuje się pracą pisarską; książka nad którą obecnie pracuje dotyczy nowszych czasów. Odnajdzie w nich czytelnik historie kaszubskie z lat pierwszej wojny światowej i po wojnie.

KSAWERY PRUSZYŃSKI „OPOWIESCI” PIW 1955, cena zł 15,40.

Zawarte w tym tomie opowiadania pochodzą z dwóch zbiorów „Trzynaście opowieści” (Czytelnik 1946) i „Karabela z Meschedu” (Czytelnik 1948). Wstęp Kazimierza Koźniewskiego, poświęcony przedwcześnie zmarłemu, wybitnemu pisarzowi — mówi o trudnej drodze jego dojrzewania światopoglądowego, o walkach publicystycznych i politycznych jakie toczył na emigracji, o jego pracy w służbie dyplomatycznej, o przemianie reportera Ksawerego Pruszyńskiego w noweliste, walorach jego kunsztu pisarskiego.

„I gdy dziś nowy czytelnik pochylać się będzie nad tym tomem wybranych opowieści — zauważa autor wstępu — gdy owionie go czar tej prozy, niech pamięta, że słowa te pisał człowiek, którego droga twórcza była trudna, lecz który nie bał się ani szukać nowych doskonalszych prawd; praw dla swego narodu, ani nie lękał się — znalazzsy — przyjmować je i potwierdzać”.

J. W. GOETHE: „WYBÓR POEZJI”. Biblioteka Narodowa, Zakład im. Ossolińskich, 1955, cena zł. 24.

Obszerny, kilkusetstronicowy wybór poezji Goethego poprzedzony monograficznym wstępem Józfi Ciechanowskiej stał się okazją do wydobycia z tek tłumaczy przekładów niepublikowanych, a także bodźcem do powstania nowych. Pozwala on poznać czytelnikowi polskiemu m in. dotychczas nieznaną twórczość filozoficzną oraz te, które E. R. Curtius w swojej książce „Kritische Essays zur europäischen Literatur” nazywa utworami „wewnętrznej kręgu”, zawierającymi osobiste wypowiedzi uczuciowe i refleksje nieprzeznaczone na pokaz, jakby odrębne szkice. Poziom przekładów — zastrzega się autorka opracowania — nie jest wyrównany, co tłumaczy się różnicą języka poetyckiego Goethego, zwiększoną, celnością wyrazów, intelektualizmem, a równocześnie ogromną skalą środków czysto — poetyckich. Z braku odpowiedniego tłumaczenia pominęli niedługo wiersz, który powinienby znaleźć się w tej antologii. „Nie dając zbioru jednolitego — pisze Z. Ciechanowska — dajemy jednak niejako historyczny przegląd stosunku do Goethego poetów polskich na przestrzeni z górą 130 lat”.

K. Nasł.

Z prac dyskusyjnych Komisji Naukowej Obchodu Roku Mickiewicza Polskiej Akademii Nauk	
ukazały się wydawnictwa	
STEFAN KIENIEWICZ LEGION MICKIEWICZA 1848—1849	
str. 178	zł 9,10
*	
WITOLD KULA KSZTAŁTOWANIE SIĘ KAPITALIZMU W POLSCE	
str. 135	zł 7,15
*	
KAZIMIERZ PIWARSKI KURIA RZYMSKA A POLSKI RUCH NARODOWY - WYZWOLENIE 1794—1863	
str. 103	zł 5,85
PWN	
K 4758-1	

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 53-30. Wydaje RSW „Prasa”. Kolportaż PPK „Ruch”, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8 04-20 do 25. Pienumeryat przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny, warunki pienumeryat pocztowej: miesięcznie 4 60 zł, kwart. 13 80 zł, półroc. 27 60 zł, rocznie 55 20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5689, tel. 23-04. Rekop. niezamów. redakcja nie zwraca.